

~~C/2 811~~

J. I. Kraszewski.



# Barani Kożuszek

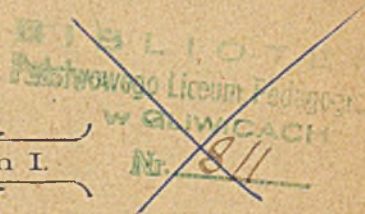
OPOWIADANIE HISTORYCZNE

z końca XVIII wieku.



Z przedmową

Teodora Jeske-Choińskiego.



Tom I

WARSZAWA.

DRUKARNIA

Granowskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Świat 47.



Kram

Bar

~~811~~ 7.1

884-3

8-3

SN 21386



Дозволено Цензурою.

Варшава, 2 Ноября 1898 года.



811. 162. 1-3

## POWIEŚCI HISTORYCZNE

J. I. Kraszewskiego.

---

Dopóki żył Józef Ignacy Kraszewski, wydawcy nie byli nigdy w kłopotcie. Na każde zawołanie wyrzucał z siebie ten stary „wilk literacki,” jak z procy, powieść, nowellę, artykuł krytyczny, historyczny, estetyczny lub cobykolwiek od niego zażądano. Zawsze przy robocie, nadzwyczaj czynny i wrażliwy, odwalał niestrudzony oracz skibę po skibie na niwie piśmiennictwa ojczystego, mając jeszcze czas do prowadzenia rozległej korespondencji.

Tak nadzwyczajna płodność nie mogła, oczywiście, tworzyć równo i rzeźbić starannie, wiedzą bowiem starsi pisarze z doświadczenia, iż choćby się rękopis sto razy odczytało, znajdzie się zawsze potrzeba jakiejś poprawki. Pośpiech w robocie szkodzi głównie stylowi i kompozycji.

Lecz w olbrzymiej górze kart, zapisanych ręką



Kraszewskiego, błyszczą tylko pereł artystycznych, iż można mu przebaczyć dzieło mniej udatne.

Mimo pośpiechu, pozostawił autor „Ulany“ po sobie całą grządkę wonnych kwiatków, które nie zwiędną nigdy.

Oprócz płodności, zadziwia w Kraszewskim jego niezwykła różnostronność. Bo czego nie obejmowała ta głowa potężna? Powieściopisarz z talentu i upodobania był równocześnie rymotwórcą, publicystą, krytykiem, dramaturgiem, a nawet uczonym. Z cierpliwością średniowiecznego benedyktyna grzebał się w archeologii, wertował kroniki, przeglądał raptularze. Żadne pole wiedzy nie było mu zupełnie obce.

Do historii czuł Kraszewski pociąg od samego początku swojej działalności autorskiej. Już w r. 1838 wydał pierwszy tom „Wilna od jego początków aż do roku 1750,“ w którym dowiódł niepospolitej erudycji. Jako bogaty zbiór materiałów, nieznanym dawniejszym historykom grodu gedyminowego, wydobytych z pyłów archiwalnych, ma dzieło to duże znaczenie. Tom II „Wilna“ wyszedł w roku 1840, trzeci w r. 1841, czwarty w r. 1842. Do dziejów Litwy wrócił Kraszewski jeszcze raz w roku 1847 („Litwa, starożytne dzieje, ustawy, język, wiara, obyczaje, pieśni i t. d.“).

Nic dziwnego, że miłośnik historii sięgał do niej od czasu do czasu po tematy do swoich powie-



ści. Już w roku 1846 napisał Kraszewski „Zygmuntowskie Czasy,” a w r. 1852 „Kordeckiego.” Były to jednak dopiero pierwsze próby jego późniejszych powieści historycznych w rozumieniu szerszem.

Właściwą działalność Kraszewskiego w tym kierunku należy datować od jego powieści, osnutej na tle dziejów rzymskich „Caprea i Roma” (1859 r.).

Jak wielu autorów dawniejszych i współczesnych różnych narodowości, zajmowała i lotny umysł Kraszewskiego epoka, w której potop nowych prawd zalewał, podmywał świat grecko rzymski. Rozpatrzywszy się dokładnie w materyale teoretycznym, pojechał Kraszewski do Włoch, „aby na miejscu poczynione studia dopełnić.” Podróż ta wpłynęła bardzo dodatnio na wyobraźnię artysty, dojrzewającego pod chmurnem niebem strefy północnej. Powiały na niego wonie Italii, olśniły go błękity morza Śródziemnego, rozbudzając w nim zmysł piękna.

„Wśród najpiękniejszego morza na świecie— mówi Kraszewski, zachwycony urokiem krajobrazu włoskiego — jakby z roztopionych ulanego lazurów, pod najczystsze niebem południa, u brzegu, pokrytego drzewy pomarańczowemi, na których świecą wiecznie złociste owoce, leży, jak olbrzymi sarkofag na grobowisku przeszłości, wyspa skalista. To Caprea—uroczy kątek ziemi oderwany od lądu rozmyślnie, aby swobodniej mógł dumać i sam być panem sobie.”

Lecz z tym uroczym kątkiem ziemi łączy się pamięć cezara Tyberyusza, pierwszego tyrana Rzymu. Jego to głównie i jego wychowańca, Kaligulę, upodobał sobie Kraszewski w powieści p. t. „Caprea i Roma.“

Do każdego rodzaju twórczości literackiej potrzeba wprawy. Tylko doświadczenie daje pewność ręki i miarę oka. Nawet bardzo utalentowani autorowie poruszają się zwykle z początku w nowym rodzaju z niezręcznością nowicyuszów.

„Caprea i Roma“ nie zasługuje jeszcze na nazwę powieści historycznej. Jest to raczej szereg obrazów i obrazków, zestawionych obok siebie dość luźno, nie połączonych z sobą cementem jednolitej budowy.

Dopiero w „Rzymie za Nerona“ (1864 r.) dowiódł Kraszewski, że nietylko wczuł się w ducha epoki, lecz umiał także wybraną chwilę dziejową doskonale oświetlić i artystycznie uwypuklić. W „Rzymie za Nerona“ znikły wszystkie rozwlekłości i zbyt liczne popisywanie się erudycją, rażące w „Caprei.“ Zwięzła kompozycja, wielkie bogactwo obrazów, wyrazistość charakterystyki i jędrny styl pozwalają zaliczyć „Rzym za Nerona“ nietylko do najlepszych utworów Kraszewskiego, lecz do najlepszych dzieł polskich wogóle. Jeszcze dziś, mimo trzydziestu kilku lat, które rozdzielają nas od „Rzymu za Nerona,“

czyta się tę powieść z prawdziwą przyjemnością i z wielkim pożytkiem.

Po „Caprei“ i „Neronie“ napisał Kraszewski kilka powieści, do których treść zaczerpnął z bogatej krynicy dziejów ojczystych („Żeliga,“ „Sto dyabłów“ i t. d.). Zbyt wrażliwy, zbyt ulegający prądom i potrzebom danej chwili, nie był on nigdy systematycznym, nie pracował z pewnym z góry określonym planem. Chwytał tematy, które go pociągały, nie łącząc ich w całość przejrzystą. Dopiero, kiedy osiadł w Dreźnie na resztę życia, obmyślił w ciszy cichego miasta, w samotnej willi na Nordstrasse, pierwszy „cykl“ powieści, dopełniających się nawzajem. Są to t. zw. powieści saskie.

Nasze „czasy saskie“ znał Kraszewski już dawniej dość dobrze. We „Wspomnieniu o Franciszce Krasińskiej“ (1856 r.) ilustrował życie królewiczówny wielkiem „mnóstwem“ dokumentów, co było dowodem, że się epoką tą dłużej zajmował; w „Staroście Bełskiej“ (1857 roku) zobrazował stosunki, panujące na dworze saskim.

Przypatrzwszy się w Dreźnie bliżej i stolicy saskiej i sasom i licznym pamiątkom, przypominającym wspólne niegdyś losy Polski i Saksonii, napisał Kraszewski szereg powieści, tworzących jedną całość organiczną.

Pierwsze ogniwa tego łańcucha („Bratanki,“



1870 roku, „Herod Baba“ 1872) nie zapowiadają jeszcze późniejszego znakomitego malarza epoki saskiej. Powodzenie Gaboriau'a i Posona du Terrail'a oddziaływało w owym czasie tak potężnie na ruchliwą umysłowość Kraszewskiego, że poświęcił malowidło historyczne dla ciekawej, „sensacyjnej“ bajki.

Powieściopisarzem historycznym w stylu szerokim jest Kraszewski dopiero w „Hrabinie Cosel“ (1873 r.), którą należy postawić obok „Rzymu za Nerona.“ W dziele tem ujarzmił bogaty materiał ze świadomością dojrzałego artysty i sumiennego historyka i zapanował nad techniką. Czas i ludzi malują w „Hrabinie Cosel“ nie uwagi osobiste autora i cytaty z kronik, lecz obrazy żywe, plastyczne, zawsze charakterystyczne. Powieść płynie równo, swobodnie; jedna scena wysnuwa się z drugiej naturalnie, logicznie, bez pomocy sztucznych środków technicznych. „Brühl“ (1874 r.) i „Z siedmioletniej wojny“ (1875 r.) dopełniają „Hrabiny Cosel.“

Kazimierz Jarochowski, znakomity znawca czasów saskich, wyraził się o tych powieściach: „Trzy te powieści, przetłómaczone na język niemiecki, mogłyby z zaszczytem figurować, jako prawdziwie piękne płody narodowej powieści dziejowej niemieckiej, robiąc niebezpieczną „konkurencyę Gustawowi Freytagowi.“ — Światło-cień między cyniczną i sceptyczną, ale matematycznie środki swe obliczającą i prak-

tycznie do celu sterującą osobistością Fryderyka a owym optymizmem Augustowo-Brühlowym, który niebezpieczeństwa do ostatniej chwili widzieć nie chce i nieprzyjaciela lekceważy, jest mistrzowsko uchwycony; występujące na tle jego osobistości z uderzającą scharakteryzowane są prawdą. Równie prawdziwym jest obraz dawniejszej społeczności saskiej, jej stosunku i postawy do wojennej burzy.“

Świadectwo historyka starczy za każdą inną pochwałę tła historycznego w tych głównych powieściach saskich Kraszewskiego.

Dalsze powieści saskie autora „Hrabiny Cosel“ („Skrypt Fleminga,“ „Pułkownikowa,“ „Sąsiedzi,“ „Wilczek i Wilczkowa,“ „Na bialskim zamku,“ „Starosta warszawski,“ „Grzechy hetmańskie“ i „Pan na czterech chłopach,“ nie dorównywają ani pod względem treści, ani pod względem kompozycji trzem poprzednim. Są to już tylko blade odbitki „Hrabiny Cosel,“ „Brühla“ i „Wojny Siedmioletniej.“

Pod koniec życia postanowił Kraszewski zobrażować całą naszą przeszłość w szeregu powieści. Rozpocząwszy to olbrzymie dzieło w r. 1866 „Stara Baśnią“ prowadził je systematyczniej, niż to zwykle czynił, prawie do śmierci. Lecz zużyte siły pracą wyczerpanego starca nie podolały już wdzięcznemu zadaniu. „Stara Baśń“ olśniła wprawdzie jeszcze wielbicieli Kraszewskiego świeżością obrazowania,

dalsze jednak powieści tego cyklu słabły z każdym tomem, witane coraz chłodniej przez publiczność.

Nie podobało się głównie obniżanie charakterów postaci historycznych, dziwnie pesymistyczne oświetlenie psychologii narodowej. Kraszewski jakby pomijał rozmyślnie jasne chwile i bohaterskich mężów naszej przeszłości, a wybierał same cienie i rozczarowania.

„Barani Kozuszek,” którego druk rozpoczynamy w tomie niniejszym, ukazuje się po raz pierwszy w formie książki. Ogłoszony w r. 1881 w „Tygodniku Ilustrowanym,” czekał dotąd na wydawcę.

Teodor Jeske-Choiński.

---



Ulica przed pałacem, w którym sławny swego czasu (1790 r.) pan Jan Marwani sprawiał dla bawiącej się Warszawy reduty, jednego wieczora, późnej jesieni, wcale ciekawym zabawić się mogła widokiem.

Błoto po deszczu, który nie przestawał, było ogromne... Ścisk przybywających na zabawę, i tych, co szczęśliwym pod oknami i przy wysiadaniu przypatrywać się mogli tylko, niesłychany, wrzawa ogluszająca.

Dwie, niezbyt jasno przyświecające, latarnie, w których grube łożówki topniały, niedosyć od wiatru obwarowane, smugami blademi rzucały na błoto i wskazywały kałuże, bo w nich się blask ich odbijał.

Najrozmaitszego autoramentu powozy, poczynając od paradnych karet i karyklów, aż do sznurkami powiązanych fiaków i wózków, jedne po drugich cisnęły się do ganku. Woźnice, łajac, smagali batami zbyt najeżdżających, dyszle stukwały o pudła, lub gwałtownie zatrzymanym koniom ponad łby się wysuwały. Z okien powozów ukazywały się glo-

wy przybywających gości, przelękłych lub zagniewanych.

Ciemność panująca dokoła, bo oprócz dwóch latarni Marwaniego i kilku maleńkich, z którymi chłopcy biegali, innego światła w ulicy nie było, zwiększała jeszcze nieład i utrudniała dostanie się do pożądanego ganku. Tu, pomimo świeżo postawionej, żółtej jeszcze baryery, która miała budowę ochraniać od nacisku tłumu, stał zastęp ciekawych tak zbity, iż tylko głowy nadeń wystające widać było.

Przypatrzeć się im godziło zaprawdę, choć deszcz kroił chłodny i gęsty. Takie zbiorowisko charakterystycznych fizyognomij trudno było gdzieindziej znaleźć. Począwszy od starców-żebraków i że-oraczek, którzy, mimo spóźnionej pory, przywlekli się tu, rachując na to, że zabawa i weselość do szczodroblowości pobudzą, aż do czeladzi i sług, kapot mieszczańskich, przyodziewków rzemieślniczego gminu, żydów i rzezimieszków, wszystkiego było tu pełno. Młodzież a starzy, pod gołem niebem i okapem, z którego deszcz się lał długimi nićmi srebrnymi, tak się tu zabawiała wesolo, jak ci, którym już muzyka w sali przygrywała. Słyszać ją było to ciszey, to głośniej, gdy się drzwi przymykały lub otwierały. Głuche burczenie basetli wtórowało śmiechom tłumu.

Chłopaki od szewców z gołemi głowami, w skórzanych fartuszkach, bosonogie, w pantoflach ze starych butów powykrajanych, rej wodzili, dowcipkując.

Witali oni każdego wysiadającego i każdą przy-

bywającą maskę jakimś rubasznym dowcipem, od którego zaraźliwe powstawało parskanie.

Porządku uchwycić nie było tu komu. Dwaj dragoni, najęci przez antrepenera, zajmowali stanowisko ważniejsze przy kasie u drzwi, bo tu trzeba było strzedz rozsypanych pieniędzy, po które drapieżne palce sięgnąć mogły.

Powozy zajeżdżały jak najbliżej ganku, do którego suchy przystęp przez kałużę gęstego błota zabezpieczały dwie kładki; ale z dachu tu właśnie najobficiej ciekło, a po bokach dwie rynny drewniane strumieniami tryskały.

Wysiadający więc musieli, nim się pod ochronny dach dostać mogli, prześliznąć się przez kładkę, błogosławieni z góry od deszczu, a potem przebyć ganek dosyć długi, z obu stron gęsto ciekawymi obstawiony. Nacisk do tych pierwszych miejsc widowiska był tak wielki, że baryery trzeszczały, a ci, co przy nich zajmowali stanowisko drogo okupione, łokciami i nogami od uduszenia bronić się musieli.

U samych drzwi, wiodących do obszernych sieni, stała w prawo budka, w której bilety wejścia sprzedawano, a z obu jej stron dwaj dragoni wąsaci, dobrani tak, aby wrażli tłumowi uszanowanie.

Koło niej i tam, gdzie służba płaszczce i okrycia zdejmowała, nosząc się z niemi pod ścianami, ścisk był niemniejszy, jak w ulicy. Lecz tu lokaje najemni i pańscy, więcej już z widowiskami podobnymi obyci, nie okazywali ani tak wrzawliwej



ciekawości, ani takiej uciechy z masek przybywających.

Znaczniejsza ich część, służbą znużona, cisnąc na ramionach płaszcz i futerka, szukała sobie wygodnego miejsca do spoczynku. Niektórzy, mimo wrzawy i dochodzącej tu muzyki, popychania i kulaków, pod ścianami już drzemać próbowali. Żwawsi między sobą, dla zabicia czasu, zabierali się do gry, kartami zatłuszczonemi.

Reduty p. Marwaniego, tak jak heca, nie należały do zabaw wielkiego świata i tonu. Towarzystwo tu zbierało się najróżnorodniejsze i nienajlepsze, lecz ci, co bawili się wówczas nieustannie, tak pospolitemi zabawami znudzeni byli, tak one im spowszedniały, iż chętnie pokryjomu zabląkać się byli radzi w najbrudniejszy kąt, aby w nim znaleźć rozrywkę. Ciekawość ta chorobliwa służyła wielu za wymówkę i tłumaczenie, gdy nią jaką intrygę pokryć było potrzeba.

Na takiej więc reducie łatwo pod maską spotkać było można najświetniejsze imiona i osobistości głośne, jakichby się tu spodziewać nie godziło.

Jpan Marwani, człowiek pochodzenia zagadkowego, mówiący po polsku z cudzoziemską, mały, czarny, z włosiem drobniuchno pokręconym na głowie, szepleniący dla zbytniego pośpiechu, bo ledwie gębą i sobą starczyć mógł na wszystko — ukazywał się u kasy, którą trzymała otyła i wystrojona kobieta, krzycząca jak przekupka, we drzwiach sali, po różnych kątach sieni. Niknął czasem w jakichś przejściach i drzwiach, dla niego tylko się otwierających,

ale na najmniejszy hałas, nad skalę wrzawy powszedniej wyrastający, zjawiał się natychmiast zape-  
rzony.

Miał biedaczysko co robić i pomimo chłodu je-  
siennego, pot musiał ciągle ocierać z czoła. Reduta  
obeicywała się nadzwyczaj świetną, gdyż szczęściem  
dla niej, dnia tego mniej niż zwykle zagrażała jej  
konkurencja pałaców i teatru.

Okolo kasy biletów nie można było nastarczyć;  
jejmość odbierająca pieniądze dwakroć już grube poń-  
czochoy, przygotowane na zsypanie ich, pod swoje  
krzesło składała. Napływ nie ustawał.

Wprawdzie maski były niezbyt wykwintne, po-  
stacie dosyć pospolite, domina proste i ładajakie,  
płaszczki przeważały, lecz między tym tłumem oko  
wprawne kasyerki wyróżniało wcale piękne stro-  
je, rączki białe w pierścieniach i mankietki koron-  
kowe.

Pan Marwani znał dobrze świat ówczesny,  
z którym miał do czynienia, wiedział, że elegancją,  
ani przyborem świeżym nie może walczyć z panami  
wielkimi, że u niego nie szło o przepych, ale o bez-  
graniczną swobodę. Nie starał się więc ani o sprzęt  
nowy, ani o oświetlenie inne nad rurkowe łożówki,  
ani o bardzo przednią muzykę.

Sale były obszerne, otoczone ławami, wybitemi  
trypą wytartą, i krzesłami nie pierwszej świeżości; mu-  
zyka na podwyższeniu, złożona z kilkunastu samou-  
czków, rznąła od ucha, rażno, nie troszcząc się zbyt  
o czystość tonów. Miała ona jednak w sobie coś  
dzikiego, rozkielznanego, upojonego jak sami muzy-  
kanci i wlewającego szal w słuchaczów. Chociaż

oasy monotonnie, jakby drzemiąc, mruzczały, skrzypce zato, flet, klarnet, zełe i bęben dokazywały okrutnie. Najbardziej skostniałym nogom tańcować się chciało.

Zachodząc z boku orkiestry tej, można było dostrzedz wypróznione piwa butelki, które ożywienie jej tłómaczyły.

Skrzypek pierwszy, mąż wzrostu okazałego, ubrany aż do zbytku elegancko, z rękawami zakasanimi, stał twarzą zwrócony do swoich muzykantów, policzkiem niemal leżąc na skrzypcach i nogą a sobą konwulsyjnie wściekły takt wybijał.

Podkomendni jego, pomiędzy którymi i kapoty widać było i odzież wątpliwego charakteru i nazwiska, należeli do *stellae minores*; dyrektor kapeli widocznie miał się za sponiewieranego wirtouza. Czasem też zamiast prostej melodyi, przymrużywszy oko, twarz jeszcze mocniej do skrzypców przytulając, wygrywał fantazyę osobliwe, które zwracały nań ciekawe oczy jego towarzyszków i niekiedy ich balałmuciły. Twarz jego rozplomieniona, pot z czoła rzęsiście spadający, świadczyły, że obowiązek swój spełniał z furją i namiętnością.

Był to reputowany wielce naówczas Szaławski (przezwany Żurawiem, może dla wzrostu), który słyzył i z tego, że na dzień butelek wódki parę wypijał, nie licząc innych chłodzących napojów. Gdy nie grał, spał... Mówił mało, a gdy kto go wyzwał na rozmowę, poczynał ją i kończył od siebie.

— W innym, panie, kraju, toby mnie złotem zasypali; ale tu... człek musi rzempolić do tańca.



Wieczór p. Marwaniego był w największym swym blasku.

W pośrodku widać było kupę masek: Węgrzy-  
na z olejkami, Żyda z kramikiem, Kozaka olbrzymie-  
go, kilku Turków w turbanach ogromnych, Hiszpa-  
nów w kryzach, chłopą Podlasiaka z kobiałką i astro-  
loga w stroju diiwacznym.

Cyganka-wróżka, w czerwonej kołdrze na bia-  
łej koszuli, cała obwieszona świecidłami, napierała się  
dłoni przechodzących, którym do ucha szeptała coś  
piskliwie. Odchodzili od niej wszyscy prawie zagnie-  
wani i burczący.

Pośród tego tłumu, którego stroje niekoniecznie  
zamożność wskazywały, stał i wielki but, którego  
cholewa ponad głowę jego się wznosiła, milczący  
i... jak but głupi. Pod chwastem, który go zdobił,  
dwa otwory służyły mu do oryentowania się wśród  
ścisku.

Wszystkich oczy jednak szczególnie na siebie  
zwracała kobieta w przepysznym stroju jakiejś kró-  
lowej Golkondy, czy bajecznego państwa niezna-  
nego...

Ubiór jej był tak fantastyczny, iż na odgadnie-  
nie jego charakteru próżno się kusić było; ale ma-  
lowniczy, bogaty i świetny bardzo, wszystkich za-  
chwycił.

Prawda, że i postać, którą okrywał, mogła obu-  
dzić uwielbienie, i choć twarzy jej pod maseczką  
wcale widać nie było, domyślano się piękności tak  
nadzwyczajnej oblicza, jak cudownem było, co jej  
towarzyszyło. Kibić, rączka, nóżka, płeć nieco od-

stonionego popiersia, były idealnego rysunku, kolorytu i blasku.

Na złotych włosach, które w zwojach objętych spadały jej na szyję i ramiona, królowa miała dyadem z klejnotów różnych misternie złożony, jaśniający kamieniami drogiemi. Nie były to ani szkła, ani czeskie kamienie, ani owe szmaragdy Krasickiego za trzy grosze, ale rzeczywiste brylanty, rubiny i szafiry, tak jak prawdziwych pereł kilka sznurów białą jej pierś zdobiło.

Na sukni z ciężkiej materji jedwabnej drapowała się przejrzysta z koronek złotych druga; pas cały był lśniący od mozaiki ametystów i pereł, na rękach obręcze złote zwijały się, pospinane brylantowymi fermoarami. Z pod sukni nawet wyglądające rzewiczki błyskały kamykami.

Strój taki, na redutę wzięty, był jakby wyzwaniem. Niepodobna było odgadnąć, która z wielkich pań tak się przepysznie dla towarzystwa tak niezwybrednego mogła ubrać.

Znawcy oceniali klejnoty same na krocie, a nikt pochodzenia ich nie umiał się domyślić.

Lecz nad nie bardziej może intrygowała piękność sama. Zbiegi z wielkiego świata, znający doskonale panie i wszystkie ich klejnoty, ani właścicielki ich, ani pochodzenia odgadnąć nie mogli.

Obchodzono ją, przybliżano się, poglądano, wyzywano na rozmowę, sądząc, że się zdradzi głosem. Odpowiadała piskliwie, dziwacznie... łamano sobie nadaremnie głowy.

W niewielkiem od niej oddaleniu wskazywano sobie mężczyznę, który z nią miał wejść na salę



lecz teraz trzymał się ciągle w pewnej odległości, nie spuszczać jej tylko z oka.

Z tego też domyślać się niczego i na żaden ślad wpaść nie było można. Miał na sobie strój francuski, elegancki, pochodzenia paryzkiego, kamizelkę suto szytą, mankiety koronkowe, u trzewików sprzączki brylantowe, na ramionach czarne domino, na peruczce kapelusik zręcznie rzucony. Z pewnej już otyłości i ruchów domyśleć się było łatwo człowieka nie pierwszej młodości. Maniery wskazywały, że do świata większego należał.

Królowa czasem rzucała nań okiem, jakby tylko przekonać się chciała, że się przy niej znajduje, zresztą zajęta była intrygowaniem tych, co się do niej cisnęli. Otaczano ją kołem wielkiem i coraz nowi przybywali do niego. Niektórzy, ruszając ramionami, odchodzili zrozpaczywszy, by mogli tę zagadkę odgadnąć. Powszechnem prawie było zdaniem, że jedna z pań należących do rodziny królewskiej (szeptano nazwisko), była tą królową, a klejnoty zapożyczonemi ze źródeł wielu. Znawcom się zdawało, iż niektóre z nich tam a tam, na tych a na tych osobach widywali.

Wszystkie te przypuszczenia jednak, pod surową wziętą krytykę, nie wytrzymały jej.

Pomiędzy tymi, którzy z największą ciekawością przypatrywali się nieznanemu, byli dwaj młodzi ludzie, nie mogący się bliżej docisnąć, ale nie spuszczać jej z oka. Trzymali się pod ręce i coraz to sobie wzajem spostrzeżeń swych udzielali. Choć zdawali się przyjaciółmi wielkimi, różnił ich strój, będący w owych czasach oznaką przekonania i stron-



nictw prawie niezbędną. Starszy z nich trochę, pięknej, wygolonej twarzy, rzymskiego typu, ze ślicznymi zębami, które rad w uśmiechu pokazywał — miał na sobie strój wytworny i smakowny francuski.

Postawa, jak twarz, uderzały pięknnością, o której uwydatnienie posiadacz jej dosyć się zdawał starać. Coś razem melancholicznego, coś szyderskiego, znudzonego a pańskiego, stanowiło charakter oblicza, na którym życie gorące zostawiło już ślady. Był to kwiat świeży jeszcze, ale już więdnąć zaczynający. Mógł on mieć jeszcze chwile blasku młodzieńczego, lecz w godzinach powszednich znużenie przeważało.

Towarzysz jego, młodszy, świeższy, wesół, uśmiechający się do życia, cały niem tryskający, zdawał się żywiej daleko tem, co go otaczało, zajmować. Na twarzy jego, nie umiejacej nic skłamać, każde najprzelotniejsze wrażenie malowało się tak dobitnie, iż nie dawało jej chwili spoczynku.

Ten miał na sobie naówczas wskrzeszony, po zaniedbaniu pewnem, szczególnie przez młodzież, którą za sobą przykład i wola królewska pociągały—ubiór polski, według mody nowej starannie, choć trochę jaskrawo i pretensjonalnie zrobiony. Przeważnie panowała w nim barwa szlachecka, karmazynowa, bo i kontusza wyłogi i żupan, pas, i buty, i czapczka na karabeli i rapcie jaśniały szkarlatem. Pod szyją miał spinkę z ogromnego rubina i guzy u kontusza z koralu.

Wąs blond, do góry podkręcony, nadawał fizyonomii jakąś butę i rycerskość.

Można było zaręczyć, że sobie nie da, jak mówiono, napluć w kaszę, i karabelę niedarmo nosi u pasa.

Twarz, pomimo to, więcej ochoty do wesołego życia, niż do zwady i warcholstwa oznaczala. Śmiał się, patrzył, radował, pytał towarzysza nieustannie i może go nudził trochę.

— Ale któż ona jest, u licha?—zawołał, zwracając się do ubranego po francusku i za rękę go cisnąc. — Jeżeli Tytus nie wie, któż wiedzieć będzie?

— Tytus — odparł drugi z uśmiechem szyderskim — wprawdzie zna Warszawę na palcach, lecz to... zagadka! To nie jest kobieta naszego świata.

— Tak, ale światów w Warszawie jest kilka— rzekł młody.

— Znam mniej więcej wszystkie, nawet te, do których znajomości przyznawać się nie wypada — zawołał znudzony; — lecz powiadam ci, kochany starosto, to cudzoziemka, to *nouvelle débarqués*.

— I nie jesteś ciekawy zbadania tego zjawiska?—rzucił żywo starosta.

— Owszem, ciekaw jestem i—dodał Tytus— mogę zaręczyć, że tę tajemnicę odkryję... tylko nie tu i nie dziś.

W tej chwili znudzony zapatrzył się na królową. Myśl jakaś przebiegła mu po głowie, uderzył się zlekka w czoło, rękę wy dobył z uścisku towarzysza i, dawszy mu znak, by w miejscu pozostał, sam bardzo zręcznie się przemykając, począł zbliżać się do zagadkowej piękności.

Pomimo ścisku, udało mu się przysunąć. Wy-

ciągnął szyję i zaczął się pilnie przypatrywać, jakby znaku jakiegoś szukał. Twarz mu się rozjaśniła zwycięzko i na miejsce do oczekującego nań starosty powrócił.

Temu oczy się ciekawością iskrzyły.

— No cóż?

— Tst! nie trzeba zdradzać tajemnicy—szepnął cicho Tytus.—Już wiem!

— Wiesz?

Zamiast odpowiedzi, Tytus ujął pod ramię pana starostę i pociągnął go z sobą do drugiej sali. Nielatwo natłok masek przebić można było.

W salach wszędzie prawie najróżnorodniejsze towarzystwo grupowało się, dobierając sympatyami i antypatyami. Śmiechy i łajania, szyderstwa i groźby latały w powietrzu, przerywane muzyką i drzwiami trzaskaniem, szczękiem orężów i blach, które maski przyniosły z sobą.

Tytus, który chciał wprowadzić starostę w spokojniejszy zakątek, dla odkrycia mu tajemnicy, nie mógł nigdzie wyszukać dwóch miejsc odosobnionych.

W jednej sali grano. Około faraona stała kupa poniterów taka, że ani złota, ani banku, ani trzymającego karty dostrzedz nie było można. Tu trochę ciszej już sprawiali się zapaśnicy, co z losem walczyli. Ławki pod ścianami, na których karty podarte leżały tu i owdzie, prawie były puste.

Para zgranych biedaków, ze zwieszonymi głowami, medytowała na nich nad zmiennością losu, czy nad... stawką nową.

Chociaż pokrycie tych siedzeń, zbrukane i stłu-



szczone, wcale nie było zachęcające, starosta niecierpliwie pierwszy padł w kącie na ławę i oglądającego się jeszcze i ociągającego Tytusa przy sobie posadził.

— Wiesz więc kto ona jest? — zawołał niecierpliwie.

— Z największą pewnością—odparł zawsze obojętny Tytus.—Byłoby rzeczą niesłychaną, ażebym ja w mieście kogoś nie znał i nie poznał.

Uśmiechnął się z wielką zarozumiałością pan Tytus.

Był on synem bardzo zamożnego kupca, rodem Włocha, oddawna osiadłego w kraju i przerobionego już na Polaka. Ojciec jego, Ferrotti, prowadził handel wielki, trochę potem bankowem zajmował się interesami, dorobił się ogromnego majątku, nadwężył go nieco spekulacyami fałszywemi i dźwigał się znów. Syn, wychowany bardzo starannie, bo mu ojciec wyrobił przyjęcie do *Collegium nobilium* u Pijarów, pozabierał tam znajomości z paniczami i wsunął się z ich pomocą w lepsze towarzystwo.

Według naszego zwyczaju, jako cudzoziemca, przyjmowano go, nawet w tych domach, gdzie żaden nieszlachcic uzyskać nie mógł wstępu. Pan Tytus, na którym ojciec wielkie pokładał nadzieje, wychowany po pańsku, żył po paniczowsku, tracił dużo, robił długie, ale za to ocierał się o to, co Warszawa miała najznakomitszego. Wielka łatwość w nauczaniu się języków obcych, w przyswajaniu sobie tonu i manieri świata wyższego, młodość i po-

wierzchowność ujmująca, uczyniły go pożądanym w salonach.

Panie, które po latach trzydziestu i czterdziestu nie wyrzekały się jeszcze zalotności i przyjemnych z młodzieżą stosunków, protegowały p. Tytusa. Nabrał wielkiej pewności siebie i marzył zapewne o jakimś świetnym małżeństwie, a tymczasem bawił się i zabawiał drugich, choć był sam już życiem bez celu dość znużony.

Był to z prawa i przywileju mentor wszystkim młodzieży, wchodzącej w świat, przyjaciel, doradca i nieodstępny towarzysz. Starał się jednak dobierać sobie uczniów między najbogatszymi i najpiękniejsze noszącymi imiona.

Takim właśnie był starosta, młody, przyszły dziedzic ogromnej fortuny i jednej z najznakomitszych rodzin w kraju spadkobierca. Ojciec jego zajmował w senacie krzesło do najpierwszych się liczące. Młody panicz, tylko co wyemancypowany, po raz pierwszy do Warszawy przybywał i wpadł zaraz w ręce p. Tytusa.

Ojciec, niezmiernie bogaty, ale nadzwyczaj skąpy, stosunkowo mało mu dostarczał na życie w Warszawie, a starosta, surowo dotąd trzymany, rwał się namiętnie do życia. Pan Tytus był jego opatrnością.

— Mów, zaklinam cię! — powtórzył, pochylając się ku przyjacielowi, młody panicz. — Kto ona jest? Tytus się uśmiechał.

— Nie byłem pewny—odparł—chociaż zaraz mi na myśl przychodziło, iż to chyba ona jedna być może... Teraz twierdzę z pewnością, że nie kto in-

ny. Poznałem ją po bardzo charakterystycznej muszce podłużnej na szyi, jak ziarnko pieprzu.

Oczy starosty zdawały się z pod powiek wyskakiwać; wstrzymywał oddech.

Tytusa bawić się zdawała ta ciekawość, aż do namiętności posunięta.

— Jakże się zowie?—pyta starosta.

— Gdybym imię i nazwisko powiedział — odezwał się, wygodniej rozsiadając, p. Tytus—tylebyście wiedzieli, co i teraz. Imię i nazwisko nic nie mówią. Muszę wam opowiedzieć jej historię.

Starosta, któremu o co innego szło, niż o przysłuchiwanie się długiemu opowiadaniu, przerwał blagająco.

— Mężatka? rozwódka? wdowa?

Tytus się śmiał z politowaniem.

— Kochany starosto—rzekł—posłuchajcież i oszczędźcie sami, do jakiej ją zaliczycie kategorii. Historia jest, słowo daję, ciekawa.

Zrezygnowany starosta umilkł i słuchał.

— Nie sposób zrozumieć nic, jeśli się nie pocznie *ab ovo*—mówił Tytus.—Ja doskonale znam biografię jej, bo mój ojciec z jej ojcem był niegdyś w stosunkach. Ambroży Krużka Zelski, zamożny szlachcic z dobrzyńskiego rodem, ale w lubelskiem osiadły, za młodu gorączka wielki, rębacz i hulaka, ale człowiek wielce szlachetny i lubiany, z ojcem moim poznał się, gdy jeszcze szumiał, jak młode piwo. Miał naówczas trzy piękne wsie po rodzicach i majątku nie trwonił, lecz go używał bez oglądania się bardzo na jutro. Miał być piękny i sympatycz-



ny, jak hubka zapalny, łatwy do zakochania i nie-  
szczęśliwy w amorach, za któremi gonił.

Łapały go za serce kobiety, które do tego my-  
śliwstwa miały wprawę i talent. On rozmiłował się  
zapalczywie, nieopatrznie i parę razy ledwie go z rąk  
bardzo niebezpiecznych uratowano.

W Siedlcach u pani hetmanowej Ogińskiej, gdzie  
bywał, równie jak po wszystkich pańskich domach,  
poznał on niejaką pannę Delacour, córkę byłego ofi-  
cjalisty hetmanowej, ale wychowaną przez fantazyę  
pani, która ją dzieckiem dla piękności pokochała, tak,  
jakby na królewskie pokoje była przeznaczoną. By-  
ło to cudo swojego czasu ta boska Aneta. Śpiewała,  
grała, tańcowała, pisała śliczne wiersze francuskie,  
zdobywała serca... szczególnie podżytych panów, co  
u hetmanowej bywali. Zdawało się, że powinna  
świetną nadzwyczaj zrobić partyę. Kilka intryg, po-  
prowadzonych bardzo zręcznie, już, już miały do te-  
go doprowadzić; lecz zdaje się, że panna zwodziła  
po kilku naraz i skończyło się na tem, że się wiel-  
biciele porozbiegali.

Była naówczas w całym blasku piękności; mia-  
ła lat zaledwie dwadzieścia kilka, a nie zdawało się  
jej to ani zastraszać, ani odejmować w przyszłość  
ufności. Naówczas po wielu też zerwanych proje-  
ktach małżeństwa, tęskniący do miłości romansowej,  
pragnącej kochania, zjawił się pan Ambroży Krużka  
Zelski.

Aneta rzuciła się nań, jak na pastwę dla niej  
przeznaczoną. W cieniach pięknego parku siedleckie-  
go odegrał się dramat miłosny, ze wszystkiemi zwy-  
kłemi epizodami przysięg, zakłęk wierszami i prozą.

Pan Ambroży oszalał, rozkochał się do utraty zmysłów, a panna z krwią chłodną grała znów komedję, mającą doprowadzić do ołtarza.

Ożenił się nieszczęśliwy Krużka z ideałem swoim, ale szczęście marzone długo nie trwało.

Młoda mężatka, nawykła do życia wśród oklasków i uwielbień, jedną miłością pod słomianym dachem nie mogła się zaspokoić. Musiał stanąć pałacyk, otwarto dom i zaczęło się życie, któremu pan Ambroży uległ w pierwszej chwili, lecz wkrótce je obrzydził. Płochosć żony stała się tak widoczną, tak rażącą, iż w pierwszym roku po urodzeniu się córki małżeństwo z miłości owej pasterskiej przeszło do jawnie wypowiedzianej wojny.

Pan Ambroży był gwałtowny i namiętny we wszystkim, Aneta dumną i upartą; żadne z nich uledz nie chciało. Niekiedy pani uciekała do Warszawy, czasem nieszczęśliwy małżonek zakopywał się na folwarku w drugiej wsi i wcale nie widywał żony. Życie wesole, nieopatrzone, wśród roju dawnych i nowych wielbicieli, ciągnęło się nieprzerwanie. Mąż w końcu cierpieć je musiał, lecz poznawszy lepiej Anetę, zobojętniał zupełnie, nie zrywając z nią dlatego tylko, iż do jedynej córeczki swej, Aloizy, bałwochwalczo był przywiązany. Potrzebując kochać, kochał się w tej ślicznej córce swej, nad którą czuwał, o ile mógł. Dla niej on zrobił z siebie ofiarę i, pomimo wstrętu, jaki mu sprawiało życie roztrzepanej małżonki, wytrwał na upakarzającym stanowisku oszukiwanego męża.

Aloizka rosła na cudo piękności, ale charakte-



rem, humorem, usposobieniami, kropla w kroplę była do matki podobną.

Wielbiciele, którzy dawniej i teraz jeszcze otaczali panią Zelską, gdy Loiska doszła lat piętnastu, zaczęli się cisnąć do niej.

Zawcześnie dojrzała dziewczeczka poczęła się bawić hołdami i pod przewodnictwem matki starać się o świetne wyjście za mąż.

Kasztelanic S., którego niegdyś zwano Apollinem Mazowieckim, zapisany w pierwszych latach swej młodości w registr mamy, żonaty później, rozwiedziony i niezbyt już młody, ale zawsze jeszcze piękny, począł konkury o pannę Aloizę. Było rzeczą najpewniejszą, że rodzina mu się z nią ożenić nie pozwoli. Pan Ambroży też opierał się całą siłą zbliżaniu się niemłodego i osławionego człowieka do dziecięcia swego. Matka popierała kasztelanica. Stało się w końcu, że dawszy tylko obietnicę ożenienia się, wykradł pannę Aloizę.

Ojciec pogonił za nim z ludźmi, przysięgłszy, że go zabije i byłby pewnie słowa dotrzymał, gdyby go mógł pochwycić.

W Warszawie kasztelanic zawiózł porwaną do pałacu, ze ślubem się ociągał, a tymczasem w kole swych znajomych jako żonę ją przedstawiał.

Nieoznaczony ten stosunek trwał lat parę. Matka często w pałacu kasztelanica przemieszkiwała, a ślub ciągle niby miał się wkrótce odbyć, gdy... kasztelanic zmarł nagle i panna Aloiza została, nie wiem jak: to nazwać... słomianą wdową.

Rodzina jej kochanka nie chciała nic wiedzieć



o niej. Musiała się natychmiast wynieść z palacu i z matką razem zamieszkała w Warszawie.

Ambroży, po nieszczęśliwej pogoni za córką, rzucił się z rozpaczą do rzeki, ale ludzie go wyratowali. Odwieziono go na wieś, chorował długo, leżał, aż potem jednego dnia znikł nagle i po dziś dzień nie wiadomo, co się z nim stało. Jedni utrzymują, że gdzieś się zamknął w klasztorze, drudzy, że sobie odebrał życie.

— Więc to jest ta?—przerwał starosta.

— Tak, to jest ta, niby wdowa po kasztelanu—rzekł z uśmiechem mentora Tytus—wedle prawa panna Zelska, a jak ludzie mówią...

Znacząco ruszył ramionami opowiadający. Starosta ciągle mu w oczy patrzył natrętnie, zdając się teraz właśnie dalszych informacji o Loisce najciekawszym.

— Więc teraz?—szepnął.

— Teraz — ciągle tonem moralisty starając się mówić, kończył Tytus — teraz... podobno się piękna Loiska z matką poróżniła. Ta siedzi na wsi, a piękna słomiana wdowa ma salon otwarty i z wielkiego świata, oprócz kobiet naszych, którym pewnie bardzo żal, że u niej bywać nie mogą, wszystko tam się zbiega.

— Bogata?—szepnął zaciekawiony starosta.

Tytus ramionami poruszył.

— Około tej kobiety wszystko, tak jak ona sama, jest tajemnicą. Dom utrzymuje na takiej stopie, jak gdyby była bardzo zamożną. Widziałeś, starośto, klejnoty?

— Ma więc kogoś—rzekł cicho, jakby się wstydział tego, co mówił, młodzieniec.

Tytus się śmiał.

— I to — odparł — niezbadaną jest tajemnicą.

Znamy kilku adoratorów, trzymany na stopie równej... uprzejmości. Kobieta, mimo swych lat za ledwo dwudziestu kilku, niezmiernie przebiegła, zręczna, rozumna, dowcipna, odgadująca ludzi, umiejająca ich prowadzić. Ci, co zpalili niegdyś jej matkę, niepospolicie obdarzoną, powiadają, że ta ją nieskończenie we wszystkim przechodzi. Dom dziwny... Oprócz jakiejś starszej pani, skrzywionej i kwaśnej, nigdy tam żadnej kobiety spotkać nie można, mężczyzn za to wszystkich, aż do naszych marszałków sejmowych. Na przejażdżkach, uroczystościach, po kościołach, na balach publicznych, ona wszędzie ma najlepsze miejsca, najświetniejszą straż przyboczną — na nią się wszystkie oczy zwracają.

— Któż uchodzi za wybranego? — tęsknie zagadnął starosta.

— Ci jakoby wyróżniani—rzekł Tytus—mieniają się zbyt często, by można zaręczyć, iż istotnie zasłużyli na to wyróżnienie.

— Widziałeś tego pana, co stał przy niej? — wtrącił starosta. — Któż to mógł być taki? Zdaje mi się, że ją wprowadził.

Tytus chwilę sobie przypominał.

— Al to nie może być kto inny, jak W..., który ze sławnymi klejnotami, zdobytymi grą w Paryżu, niedawno do Polski powrócił. Tak, to on niezawodnie. Mówiono przed kilku dniami, że u niej począł bywać codziennie i parę razy grę tam trzymał. Więc—

dodał żywo Tytus—i kiejnoty na królowej Golkondy tłómaczą się łatwo. Są to sławne owe percyoza, wygrane jakoby od królowej Maryi Antoinety.

Wszystko to, co mówił i o czem napomykał p. Tytus, było dla słuchającego dosyć ciemnem. Świeżo z pod surowej klauzury domu rodzicielskiego wyzwolony starosta, nie pojmował dobrze tych stosunków, z taką łatwością zawiązujących się i rwanych. Nie wiedział, kto był ten W... Zadumany, marzył teraz o tem, jakby czarodziejkę widzieć zbliżka i docisnąć się do niej. Z życzeniem tem, pomimo już poufałej przyjaźni, jaka go łączyła z Tytusem, wydać się nie śmiał jeszcze, ale drugi łatwo je mógł odgadnąć.

— Znasz ją? widywałeś bez maski? — wtrącił nieśmiało.

— Przecież po ziarnku pieprzyka ją poznałem— rzekł z pewną przechwałką Tytus.

— I twarz tak piękna, jak figura obiecuje?

— Mogę zaręczyć, że ona wszelkie obietnice i nadzieje przechodzi — potwierdził Tytus.—Twarz to jest klasycznie piękna, a szatańskim ogniem ożywiona; oczy, które mówią, nie potrzebując ust w pomoc przyzywać; wargi, co się śmieją, tysiącnymi odcieniami śmiechu; fizyognomia jak płomień ruchoma, zawsze niezrównanie, bosko piękna. Czarodziejka, jednym słowem, niebezpieczna.

Spojrzał Tytus na towarzysza milczącego, wyzywając go na wyznanie, iż pragnąłby zobaczyć to bóstwo.

— Możesz mnie tam wprowadzić? — zapytał młodzieniec.



— Mogę, ale nie chcę — odpowiedział Tytus. — Tak, nie chcę! Pozwól, kochany starosto, abym był szczerym. Jesteś młody, niedoświadczony i strasznie zapalny. Ona piękna i zręczna. To rzecz groźna.

Starosta w uśmiechu pokazał zęby białe i pokręcił wąsa.

— Czemże to grozić może? — odparł — przecież nie ożenieniem, bo o temby nawet pomyśleć się nie godziło... a jeśli worek odpokutuje... proszę cię, kiedyż go lepiej używać, niż w młodości?

Pan Tytus ramionami poruszył.

— Nie o to idzie — rzekł — ale uwikławszy się w podobne stosunki, zawsze potem odboleć je trzeba. Żalby mi was było.

Starosta przymuszonym odpowiedział uśmiechem. Siedzieli ciągle na ławie.

— Byłbym wam jednak bardzo wdzięczny — odezwał się — gdybyście mnie jej zaprezentowali. Wierzcie mi, nie jestem już tak naiwnym, abym się dał wziąć na lada plewę.

Tytus się uśmiechał.

— To nie plewa — przerwał — wierzcie mi. Wiedziałem ludzi, posiwiiałych w boju, którzy przy niej języka w gębie zapominali. Wcale sobie nie wyobrażajcie, aby była pospolitą, płochą kobieciną. Ma tyle powagi, co uroku, gdy chce. Potrafi być dziecinną, umie się zmienić w dostojną, a nadewszystko usidlić każdego, gdy się na to uweźmie.

— Jednakże — przerwał starosta — dotąd nie zdobyła tego, coby dla niej pewnie najpożądańszem było — męża.

— Kwestya, czy dla niej jest on pożądanym —

rzekł Tytus.—Lubi swobodę. Dobrze jej jest z tem, co ma. Mści się na innych kobietach nielitościwym językiem. W końcu zaś, jestem tego pewny, gdy zamarzy o zamażpójściu, znajdzie sobie jakiegoś Tomatysa, który ją zaślubi.

— Żart na stronę — wstając z ławy, zawołał starosta, podawszy rękę przyjacielowi. — Ponieważ przyjmuje codzień, spodziewam się, że jutro u niej będziemy. Proszę o to.

Tytus się skłonił.

— *Je m'en lave les mains!* — rzekł cicho.

— A teraz wróćmy się, aby tam na nią popatrzeć — dokończył starosta, śpiesząc wyjść z sali gry ku muzyce i wirowi kręcących się masek.

Tu ścisk zdawał się większym jeszcze, niż był przed pół godziną, a wrzawa spotęgowała się znacznie. Maski napadały się ze swobodą, którą nawet sala Marwaniego rzadko widywała. Z pierwszej, w której piękna królowa Golkondy się im ukazała, krzyki dochodziły i śmiechy straszliwe, jak gdyby coś się tam przytrafiło nadzwyczajnego.

W tem miejscu, gdzie stała niedawno piękna pani ze swym towarzyszem, widać było na kiju opar tego staruszka, nędznie przyodzianego wytartym kożuszkim baraním, z kawałkiem płótna szarego, przyczepionego do twarzy nakształt maski, z dwiema w niem wystrzyżonemi nieforemnie dziurami na oczy. Było to coś nakształt żebraka, lub przynajmniej tak doskonale udającego nędzę zabrukana, że ją za rzeczywistą wziąć było można. Z siwym na głowie, rozczochranym, długim włosiem, z brodą na piersi

spadającą, staruszek ów zamyślony, zapatrzony w ziemię, jak gdyby nic nie widział i nie słyszał, co się wkoło niego działo, dawał się szarpać maskom, krzyczeń sobie do uszów, potracać z boku, chwytając za poły, uragać z siebie. Wśród tego zgielku był jakby skamieniały boleścią i żółta twarz jego, wykrzywiona niby maska szyderska, wyzywała tłum, który ryczał ua różne głosy:

— *Barani kożuszek! Kożuszek barani!*

Żebrak, którego znała cała Warszawa pod tem imieniem, od lat już kilku dawał się widzieć na ulicach, pod kościołami, w kościołach i w miejscach, w których się go najmniej spodziewać było można.

Znano go z tego, że chociaż żebrakiem się być zdawał, nie przyjmował od nikogo jałmużny, ale za każdą ofiarowaną sobie wywdzięczał się nauką moralną.

Wlepiął zwykle oczy w dającego ją i wybuchał śmiechem szyderskim, naigrawaniem, czasem niesłychanie zuchwałemi admonicyami, niekiedy grubiańskim morałem.

Z tego powodu uznano go waryatem, chociaż to, co mówił, było tylko nielitościwie ostrem, ale zawsze trafnem i rozumnem.

Nie wiedział nikt, ani kto był ten szalony Barani kożuszek, ani z kąd tu przybył. Obawiano się z nim spotykać, uciekano od niego, powtarzano jego apostrofy i sarkazmy, a nawet na rachunek jego tworzono je. Nigdy jednak dotąd żebrak ten nie ośmielił się wcisnąć na redutę Marwaniego, i widząc go tu, powątpiewali wszyscy, aby to był prawdziwy



Barani kożuszek, utrzymywano, że ktoś się za niego przebrał.

Właśnie starosta z panem Tytusem wchodzili do sali tej i postrzegli obłązonego starca, gdy w progu spotkali się z obu znajomym hrabią Teofilem, jednym z tych świeżych hrabiów, których dziesiątkami koperty królewskich listów kreowały naówczas. Należał on do rodziny niedawno jeszcze z mroków niewiadomego pochodzenia wydobytej, wątpliwego szlachectwa, lecz teraz już uhrabionej.

Hrabia Teofil był z powołania *tężyoną*, człowiekiem potrzebującym żyć, bawić się i sprzedającym za krescytywę siebie, swe przekonania, sumienie i wszystko. Nie było miłszego, ani łatwiejszego w życiu człowieka nad niego, ale też na nikogo mniej rachować nie było można.

Przyjaciel najserdeczniejszy wczoraj, jutro — na rozkaz—był wrogiem. Przerzucał się ze stronnictwa jednego do przeciwnego obozu, bez najmniejszego sromu, tak naturalnie, tak łatwo, jakby to, co czynił, było niemal obowiązkiem. Wszystko obojętnem mu było, oprócz własnego dobrego bytu. Dawał się za narzędzie używać każdemu, kto się nim chciał posłużyć, naiwnie tylko zapytując o korzyści, jakie mu to przynieść miało.

Hrabia Teofil, zobaczywszy starostę, dla którego możnej i wpływowej rodziny był z wielką czołobitnością—natychmiast, powitawszy go, uwiązał się do pełnego nadziei młodzieńca.

— A cóż tu robi Barani kożuszek? — zawołał Tytus.

— Nie byliście państwo, gdy nam tu tę scenę wyprawili? — zapytał hrabia Teofil.

— Jaką scenę? — podchwycił starosta.

— Widzę, że nie wiecie nic — począł żywo hrabia. — Ależ-to nieoszacowane, osobliwe! Warto było posłuchać, a powtórzyć się nie da.

— Cóż to 'takiego? co? — badał ciekawy starosta.

— Scena — odezwał się, śmiejąc, hrabia. — Ja właśnie tyłkom co przyszedł tu, bo mi powiedziano, że dziś się u księżny generałowej panie zmówiły, iż przyjdą na redutę. Wchodzę, patrzę... w środku sali otoczona tłumem stoi w klejnotach jakaś niby królowa...

Tytus przerwał:

— Hrabia jej nie poznałeś?

— Nie, doprawdy, że nie — ciągnął dalej Teofil.

— Chciałem zbliżyć się do niej właśnie — podchwycił po chwili, wyczekawszy, czy mu Tytus nie odkryje tajemnicy.—Wtem, szmer się zrobił u wnijscia, wołanie jakieś. Patrzę — wsuwa się ów fajdak Barani kozuszek. Ja bo nie wiem, jak oni go tu mogą cierpieć na bruku, tego łotra.

— Ależ to nie może być prawdziwy—oparł się p. Tytus.

— Prawdziwy, czy fałszywy—mówił dalej hrabia—takich masek się nie puszcza... Widzę, rzucił oczyma po sali, gęba mu się do śmiechu wykrzywiła, bo płachta jej nie zakrywa, jak widzicie... i zaraz przy drzwiach chwycił za guzik od sukni wojewodzica, którego, mimo maski, musiał poznać... i nuż

mu coś w uszy kłaść. Ten aż się zżyma i wyrывa, ale dokoła ścisk, nie może uciec, a wszyscy w śmiech... Musiał mu czemś dopiec, bo wojewodzie jak wściekły przebił się nareszcie i umknął. To był początek dopiero. Ledwie ten uszedł, żebrak już pochwycił i wziął na fundusz drugiego, nie mogłem poznać kogo. Publika aż ryczy... wszyscy uciekają ze strachu. Wtem wpadła mu w oczy królowa w klejnotach. Począł się w nią niezmiernie uparcie wpatrywać i głowę przerzucać z ramienia na ramię. Ta go jeszcze nie widziała. Stał niedaleko jakiś jegomość, zdaje mi się, że W... Naprzód się przysunął do niego.

— Dobry wieczór.—Ten zmilczał dumnie.,.

— Jakże tam szansa służy—rzekł—po tej wienie, którąś jegomość miał w Paryżu? Pono przywieszzone klejnoty królewskie tu się rozleżą po ladajakich szyjach i ramionach. Ale co tam zważać na to: odegrasz się jegomość. A od czego volta?

Zrobił ruch ręką. Zaczepiony popchnął żebraka i odsunął się. Przystąpił wtedy Barani kożuszek do onej królowej, ale słyszeć nie mogłem, co do niej mówił. Widziałem tylko jak się jej pokłonił szydersko i, ręką wywijając, począł sypać wyrazami z największą gwałtownością, a publika mu wtórować śmiechem. Królowa stała jak na mękach... Szyja i plecy krwią się oblały. Zaczęła się rzucać, ale żebrak nie ustępował; z zajadłością za cofającą się podchodził, śmiejąc się sam na całe gardło i w drugich wywołując śmiechy. Litość brała, tak męczył tę nieszczęśliwą. Myślałem, że padnie trupem. Zakrywała sobie oczy, uszy — ten wrzeszczał, miotał się i nie



wiem coby się stało w końcu, gdyby prawie omdlewającą ten W., z kimś drugim, nie pochwycili i nie uprowadzili. Ależ to zbój, łotr! Jegoby zaraz pod marszałkowską wartę oddać... słowo daję.

Starosta, zaciekawiony, począł się przeciskać do Baraniego kożuszka, aby mu się przypatrzeć zblizka.

Starzec, pogrążony w myślach, dopiero teraz podniósł głowę i oczy wlepił w starostę. Kilka osób ich od siebie tylko przedzielało. Młodemu paniczowi od tych oczów, które na nim spoczywały, zrobiło się niedobrze. Chciał ujsć, ale już było za późno. Barani kożuszek trzymał go na uwięzi swoim wzrokiem, bo przez szeroko rozdarte otwory płachty, która mu za maskę służyła, oczy wystawały całe, z pomarszczonemi powiekami. Twarz, zasłonięta napół, pódczęła około ust się uśmiechać. Stary odprostował się, przybrał postawę taką, jakby na nim nie łachmany, ale najparadniejszy strój się pysznił—i z wielką grzecznością suchą, dużą rękę przyłożywszy do wytartej czapczyny, pozdrowił starostę.

Paniczowi, który przez to wystawiony był na ciekawe wejrzenia gości, spodziewających się nowego skandalu, wstyd jednak było uchodzić. Krew uderzyła mu do twarzy, podparł się w bok i stał.

Barani kożuszek spojrział na towarzyszących staroście i uśmiechnął się:

— Czołem panu staroście — począł, zowiąc go po imieniu i nazwisku, co młodzieńca nadzwyczaj zdziwiło. — Czołem dziedzicowi wielkiego w naszej rzeczypospolitej imienia! Przykładem pan naszej mło-

dzieży być winieneś; zawczasu do życia się wprawiasz... i mentorowie do niego szczęśliwie dobrani. *Experto crede Roberto. Centum laudes!* Otóż to miło widzieć, gdy młodzież rozumie tak zadanie żywota. Zamiast się na kresach w słoty i chłód nudzić na forpocztach i głodzić — tu przy muzycze, z ładnymi kobietkami, z dobrymi kamratami wczasu się używa. Zaiste, to pochwały godne! Niech szaraczkowi i kapotowi za nas skóry i grzbietu nastawiają; my wypijmy i vivat dobra myśl! Kto zawczasu zaczął, nigdy nie żałował. Potem, skoro znajdziesz: podagrę, trąd, życia przesyt... pozbywszy się marnych dóbr świata tego, dopiero będziesz szczęśliwy i wolny. Niema-bo wolności, jak przy goliźnie i biedzie. Człek już do stracenia nic nie posiada...

Mówiąc przerywanym głosem, stary śmiał się, ale tak, że słuchającym z tego śmiechu ciarki po skórze chodziły. Starosta drżał, w uszach mu szumiało, płonął, choć połowę słów gwar głuszył i do uszu jego dojść im nie dawał.

— Niech panowie nie próżnują! — dodał kożuszek.—Faraon w drugiej sali wabi złotem. Tu czarnych oczek i niebieskich do wyboru dosyć, a ponczyk z burgunda wcale niezły... Do dzieła, panowie, do dzieła!

Nieszczęśliwy starosta nie wiadomo jak długo byłby wystawiony na tę chłostę słów niemitosiernych, która w nim już wrzący gniew budzić zaczynała, gdyby kożuszkowi nowa się nie nasunęła ofiara.

Była to maska, którą po stroju dosyć koszto-

wnym można było odgadnąć, iż do tak zwanego wielkiego świata należy. Słusznego bardzo wzrostu, barczysty mężczyzna, w stroju francuskim, otyły, z dominem czarnem na ramieniu, jak się zdawało, niemłody już wcale, lecz wyelegantowany i woniejący, zwrócił na siebie starca oczy.

Rzucił starostę, jakby go już nie było, i zwrócił się Kozuszek ku nowej masce, pokłonem ją do kolan witając.

— Jaśnie oświeconego ex-podskarbiego! do nówek się ściele. *Servus humillimus!* Czołem przed zasługą, czołem przed tem męstwem bohaterskiem. Fraszką Achille i Hektory... To mąż, który się plwania dwudziestu milionów ludzi nie uląkł i nie zadrzał! Zwalczył przesady, uczciwość i cnoty... Krucyfiksy poprzetapiał na okucie do chomątów... To mi człek!

Śluchający z początku się zachnął, potem rękę z laską podniósł, jakby starca chciał uderzyć, lccz z cizby ktoś pochwycił ją i na ziemię strącił, a nim ciężki trochę właściciel jej pochylił się, aby ją podnieść, Barani kozuszek odsunął się ze śmiechem i już kogo innego wziął w obroty.

Usiłując napróżno wyrwać mu się i uciec, stała przed nim maseczka kobieca, strojna bardzo, wygorsowana, w nadzwyczaj starannie utrefionej peruczce. Dostyc otyła, biała, maska zerwała się, mimo pretensyi do młodości i przybranych ruchów żywych, wcale już niemłoda. Część twarzy, której rąbek czarnej maski uiezupelnie okrywał, była pofaldowana i puszkim, nie wiosennym okryta.

— Jaśnie wielmożnej wojewodzinie! — począł kożu-



szek.—Nieśmiertelnej bogini mej! Tak, bóstwa tylko mają ten przywilej, że czasu ząb na nich nie zostawia śladu. Lat temu już trzydzieści, gdym się kochał w niej, naówczas dwudziestokilkoletniej. *Dii potentes!* Dwa razy rozwódka, raz wdowa, a po tylu walkach, z których wyszłaś zwyciężko, zawsze piękna!

Kożuszek ręce złożył, podniósł je do góry i na jedno przykląkł kolano!

— Hołd nieśmiertelnej! — zawołał.

Dokoła parskano śmiechem, a nieszczęśliwa kobieta, napoły omdlała, zwieszona na ramieniu prowadzącego ją mężczyzny, wołała

— *Sauvez moi! c'est infame!*

Pomimo wzruszenia, jakiego doznała, prześladowana maska odzywała się głosikiem, któremu młodą intonację dać się starała. Mężczyźnie towarzyszącemu jej udało się nareszcie zasłonić ją i o kilka kroków w tłum uprowadzić.

Młodzusiénka istota jakaś, w stroju pasterki, ceła w kwiatach, mimowolnie w ciągu tego poruszenia tłumy została na oczach.

Barani kożuszek zwrócił się do niej.

— Panienczko — zawołał — jeżeli jakim przypadkiem u serca twego, jak u żłobu w gospodzie, jest trochę wolnego miejsca... dam ci dobrą radę. Nastręcz się oto temu (wskazał) w karmazynach starości. Młody jak z igły, płomienisty, a jak Krezus będzie bogaty. Pomóż-że mu się rozerwać i życia skosztować. A mnie starzemu porękawicznego buziaka!

Panienka krzyknęła aż ktoś na bok ją odsunął.

Barani kozuszek oglądał się za pastwą nową, lecz nie nastęczał mu się nikt, oprócz stojącego i wpatrującego się weń pielgrzyma, z niezmiernie długą brodą przyprawną, laską z tykwą w ręku i torbą przez plecy, w kapeluszu ze skrzydłami wielkimi.

— Cha! cha! — rozśmiał się stary, klepiąc go po ramieniu — wybrałeś się doskonale z różańcem na maskaradę, a może i z kazaniem do tych niewiernych. Ojczy mój! czas to i praca stracone!

— Nie nawrócimy tu nikogo. Są to synowie Baa-la, zbiegi z Sodomy i Gomory, pastwa szatanów. Ani słowem, ani łzami, ni zaklęciem, ani groźbą nie opamiętamy ich. Szaleć będą, pić będą ze wszystkich czar żywota, pomyje ze wszystkich rynsztoków, aż póki ich i nas i tego stosu Sardanapala ogień z nieba i przepaść nie pochłonie. Musi to wszystko runąć, paść, być zgniecionem na miazgę, aby się stało pognojem nowego żywota. Musi ten śmiech w płacz się obrócić, to pijaństwo w zgrzyt zębów, ten przepych w nędzę, ta lubieżność w zgniliznę, ta swawola w niewolę... Popiołem, ale gorącym, Bóg posypie te parszywe czaszki!

Starzec plunął, czapkę na oczy wtłoczył, kij swój podniósł i nie patrząc już na nikogo, skierował się ku drzwiom. Ciężba mu się rozstępowała w milczeniu.

W czasie ostatniej perory jego wrzawa ucichła była zupełnie, muzyka nawet grać przestała; tłum stał w jakimś osłupieniu i dobrej chwili potrzeba by-

ło, póki znów nie ożwały się skrzyпки, basette, pisk masek, gwar i śmiechy.

— Ja powiadam — odezwał się hrabia, ochłonawszy nieco — że to jest niepojęta zuchwałość i niesłychane niedbalstwo z drugiej strony, ażeby takiemu jakiemuś waryatowi dać wniść na redutę i pluć w oczy światu całemu, a potem mu pozwolić wyniść bezkarnie. To tylko u nas, gdzie niema najmniejszego porządku, stać się mogło.

Starosta i pan Tytus stali niemi i zmarszczeni.

— Ale któż to jest taki? — począł panicz, usiłując odzyskać swobodę.

Hrabia Teofil, który rad był zbliżyć się do niego, natychmiast podchwycił:

— To nie jest prawdziwy Barani kozuszek — zawołał — tamten nie bywa tak zuchwałym. Ja go widywałem. To maska... i odkryje się, kto ją włożył.

— A ja hrabiemu powiadam — wtrącił Tytus, który zawsze chciał być jak najlepiej informowanym — że tak się przebrać niktby nie mógł. To były jego prawdziwe łachmany. Nikt w świecie, nawet dla przyjemności splełania figla, nie włożyłby na siebie tego śmierdzącego kubraka. Prawda, że księżę Adam raz się za astrologa, czy wróżbitę przebrał, aby damy zaintrygować...

— Na złośliwych dowcipnisiach u nas nie zbywa — podchwycił hrabia — to była maska.

Ktoś nieznamy zupełnie z tłumu, słysząc to, głosem spokojnym wmieszał się do rozmowy:

— Nie jeden raz, ale razy z dziesięć, o białym dniu, około zamku, u bramy krakowskiej, pod Bernar-



dynami spotykałem się z Baranim kożuszkiem i dobrze mu się przyglądałem. Mogę zaręczyć, że to nie fałszowany, ale prawdziwy. Głos jego pamiętam.

— Ale tak! — potwierdził Tytus z wielką pewnością siebie.

Hrabia, nie chcąc się spierać, ramionami poruszył.

— Przecież, kiedy acan dobrodziej ciekawym go byłeś—odparł—musisz o nim coś więcej wiedzieć niż my. Kto to jest? co za dyabeł?

Nieznajomy, człek podżyty, dosyć poważny, bez maski, w stroju polskim, niewykwintnym, którego obecność na reducie nie dawała się tłumaczyć fizyognomią — odpowiedział zimno:

— Nikt tego nie odgadnie.

Wszyscy zwrócili nań oczy.

Pan Tytus z pewną zazdrością i z rodzajem szyderstwa spoglądał na nieznajomego, przypatrując mu się bacznie.

— To tak, jakbyś waćpan twierdził, panie Bącik — że waćpana tu nikt nie zna i nie wie, po co przyszedłeś na redutę.

Ubodnięty i wymienieniem swego nazwiska i sarkazmem Tytusa, ów nazwany Bącikiem obruszył się mocno i zaperzył.

— A cóż komu do tego po co ja idę na redutę? — odpalił. — Albo to mi nie wolno? Cóżemto ja gorszy od innych? Waćpana ojciec...

Miał coś nieprzyjemnego powiedzieć panu Tytusowi, który przewidziawszy to, przerwał mu:

— Nie gniewajże się. Nikt waćpanu reduty nie broni — rzekł. — Ale jak to można twierdzić, że

człowiek, co się po Warszawie przez tak długi czas kręci, może być i pozostać jakąś tajemnicą?

Pan Tytus śmiał się.

Bącik na niego pogardliwie zerknął.

— Niechże pan raczy nam odkryć tę tajemnicę—odezwał się.

Tytus trochę się zmieszał.

— Że ja nie wiem, kto jest Barani kozuszek, to niczego nie dowodzi—zawołał.—Mnie taki tam siksat, co komedye po ulicach wyprawia, nie obchodzi wcale.

Ruszył ramionami i, gniewny na Bącika, zwrócił się z sarkazmem na niego.

— Za to panu Bącikowi powiem, po co na redutę zawędrował — rozśmiał się. — He? chcesz?

Bącik się namarszczył.

— Pewnie jakiejś jejmościance pożyczyłeś zastawnych klejnotów na maskaradę i boisz się, aby ci z niemi nie zbiegła?

Rozśmieli się wszyscy na głos, a lichwiarz, przeżywszy wzrokiem Tytusa, splunął i rzekł, oddalając się:

— Na zastawy pożyczam, czy nie, to moja rzecz. Ale gdybyś mi waćpan nawet duszę chciał dać w zakład, nie pożyczyłbym na nią kulfona... bo i tego nie warta.

Splonął pan Tytus cały i byłby się rzucił za uchodzącym, lecz ciżba go oddzieliła od nich, a starosta za rękę go schwycił.

— Dajże pokój! daj pokój! — zawołał.

Tak się skończył ten epizod.

Noc była dosyć późna, a starosta, redutą dosyć

już nasycony, u Marwaniego wieczerzać sobie nie życzył. Szepnął Tytusowi, że gdzieśby na wieczerzę jeszcze pojechać nie było od rzeczy.

Hrabia Teofil, nie życzący sobie opuszczać tak milego towarzystwa, dosłyszawszy to, głośno za wieczerzą wotował.

— Wielka szkoda, że ja — odezwał się starosta — jeszcze tak urządzonego domu nie mam, abym o tej porze mógł panom ofiarować wieczerzę, ale...

Hrabia spojrział na zegarek.

— W istocie — zamruczał — późno bardzo.

Tytus, który w sprawach tego rodzaju, jak wieczerza, był mężem dobrej rady, myślał jak gdyby coś najważniejszego miał sobie powierzone. Twarz jego zaszępiła była i czoło pofałdowane.

Oczy dwu panów zwróciły się ku niemu.

— Wiecie panowie co — rzekł po bardzo głębokim rozmyśle. — U pani Loizki grywają do białego dnia czasami, a wieczerzy nie dają inaczej, jak o drugiej godzinie. Gdybyśmy do niej poszli?

Starosta zadumał się mocno.

— Jakto? — szepnął — po tem, co tu dziś zaszło?

— Właśnie — rzekł Tytus tryumfująco. — Znam tę kobietę. Tembardziej okazać będzie usiłowała, że jej to bynajmniej nie obchodzi. Jestem pewny, że przyjmuje, jakby w najlepszym humorze.

— Ale ja tam nie byłem nigdy! — zawołał panicz — a prezentować się po raz pierwszy w nocy...

Hrabia się rozśmiał.

— Niema się co ceremoniować — rzekł. — Mogę zapewnić, że panu staroście będzie rada o którejkol-



wlek godzinie raczysz ją odwiedzinami swemi zaszczyć.

Wahał się jeszcze panicz, do takiej swobody ruchów nienawykły; ale Tytus swą powagą przemógł jego obawę.

Hrabia zabierał się im towarzyszyć, nie pytając nawet o przyzwolenie.

Z trudnością pobrawszy się pod ręce, zdolali przebić się przez tłum, który teraz w spóźnionej godzinie z coraz gminniejszych żywiołów będąc złożony, zagrzany ponczem, wcale się do grzeczności dla elegantów nie poczuwał. Owszem, na przekorę im fale jego napędzały się, uderzały i niby przypadkowo częstowały w bok kulakami.

Wyszedszy za drzwi, najbardziej poturbowany Tytus odetchnął.

— Szuja! — zawołał z pogardą.

W sieniach z trudnością znowu przyszło wyszukać śpiącego hajduka pana starosty, który, pomimo hałasu, snem sprawiedliwych i pijanych chrapał w kącie. W ganku, około którego tłum spektatorów deszcz przerzedził, musieli stać, dopóki zaspany hajduk, dobywszy głosu, z ciemności nocnych nie wywoływał woźnicy z landarą.

Deszcz lał już teraz nie takim kapuśniaczkciem jak z wieczora, ale jesienną słotą, której żaden wiaterek nie poruszał, co było znakiem, że się na czas długi zabrała tu gościć.

Tytus nakazał jechać na Krakowskie-Przedmieście, do pałacu B.

W owym czasie pałacami zwały się nawet takie kamienice, które dziś skromnem rozmiary nie

zwracają wcale uwagi. Kilka kolumn z przodu, facyata z armaturą lub herbami, czasem dwa przyczerpione po bokach skrzydła pałac stanowiły.

Tak zwanych pałaców była liczba wielka. Ten, o którym mowa, należał do najskromniejszych. Rodzina, której nosił nazwisko, mieszkała wówczas za granicą, a pałac wynajmowano.

Pani Loiska (bo tak Aloizę powszechnie zwano) zajmowała tu całe pierwsze piętro, miała połowę stajen i ogród latem do wyłącznej swej dyspozycji. Dół pałacu, ekscypowany dla dziedzica, mieścił w sobie jego kancelaryę, plenipotentą, służbę, zupełnie tu niepotrzebną, i rezydentów wszelkiej maści.

Drugie piętro wynajmowano lokatorom, którzy tak mało się pokazywali i czuć dawali, że o nich całkiem można było zapomnieć.

Wyglądający oknem powozu Tytus z wielkim tryumfem wskazał, iż go rachuby nie omyliły. We wszystkich oknach pierwszego piętra świeciło się rzęście. Przez otwarte drzwi sieni na dole widać było schody, także oświetlone.

Powóz zatrzymał się u ganku. Trzej panowie z hajdukiem, który na ich płaszczach miał się znowu do wygodnego spoczynku w antykamerze usłać, weszli na schody.

Na pierwszym piętrze znaleźli służbę i właśnie zimne półmiski wnoszono do jadalni. Tytus, który swojego przywileju przedstawienia gospodyni domu starosty nie myślał ustępować hrabiemu, wiódł go pod rękę.

Apartamenty, zwłaszcza przy świetle, przedstawiały się bardzo pięknie.

Salon biały, ze złotem, chociaż znać po nim było, że na przepych żaden gospodynię nie stawało, urządzony był z tą sztuką niewieścią, króra wiele ukryć i uwydatnić umie.

Oko znawcy odkryłoby w nim zręcznych kłamstw dużo, ale starosta nie był jeszcze żadnym znawcą, a dom jego ojca, chociaż magnata, ze zbytkiem go nie oswoił.

W salonie przechadzało się dwóch panów na cichej rozmowie; gospodynii tu nie było. Przez drzwi otwarte do dużego wprawo pokoju, z kąd światło żywsze się ukazywało, dochodziły głosy podniesione i śmiechy.

Łatwo się było domyśleć, że tam życie skupiło się całe, ciągnęła gra, przy której i piękna gospodyni być musiała.

Tytus miał tam wprowadzić starostę, gdy z wielkim pośpiechem naprzeciw gości wychodząca w progu pokazała się piękna Loiska.

Pierwsze wejrzenie starosty szukało w niej królowej Golkondy, która go na reducie zachwyciła.

Zdziwił się niezmiernie, gdyż pomimo całej wiary w nieomylność pana Tytusa, w gospodyni niepodobna mu było najmniejszego znaleźć śladu podobieństwa... do onej królowej.

Lois'ka była piękności olśniewającej, lecz zdawała mu się wysmuklejszą, wzrostu mniejszego, młodszą w ruchach i postawie, niż piękna maska na reducie.

Włos, starannie utrefiony, był barwy ciemniejszej nieco. Zdało mu się, że pan Tytus się omylił.



Prócz tego, po scenie tak przykraj na maskaradzie piękna Loiska nie mogłaby być, nawet największą moc mając nad sobą, tak roztrzpiotaną, wesolą i mieć oblicze tak wypogodzone.

Twarzyczka przeszła oczekiwanie pana starosty; była nietylko piękną, ale rozumną, dowcipną i uroku niezwyczajonego.

Para oczów ciemnych, ogromnych, śmiałych jak dwaj rabusie, nadawała fizygnomii wyraz nadzwyczajnej bystrości i przenikliwości. Uśmiech był wypieszczony, słodki, a razem niedostrzeżenie szyderski. Płeć tylko nadzwyczajna swą świeżością i białością przypominała widzianą na balu.

Tytus bardzo zręcznie przedstawił starostę, na siebie i hrabiego składając winę, że się w porze tak niewłaściwej ośmielili i t. d. /

Gospościa przerwała im uśmiechem i głosem melodyjnym, jakby śpiewała piosenkę:

— Ale proszę wcale się nie tłumaczyć! To właśnie pora najprzyzwoitsza. Bawić się można tylko nocą; w dzień śpią przyzwoici ludzie. Przytem hrabia W. trzyma bank u mnie dla zabawy mojej, a gra wszystko tłumaczy.

Starosta od pierwszej chwili był już pod urokiem czarodziejki, która doskonale o tem wiedziała. Podała mu rękę, zapominając o hrabi i Tytusie, i zaprowadziła do pokoju, w którym grano. Tu kilkanaście osób z taką namiętnością zatopionych było w faraonie, iż nikt się, słysząc wchodzących, nie zwrócił nawet.

Ciągnący bank hr. W., na którego spojrział starosta, szukając w nim tego, który towarzyszył kró-

lowej, był pięknej i wielce dystyngowanej twarzy, już niemłody, spokojnego, wychłodzonego oblicza. Fryzura jego i głowa przypominały widzianego na reducie, ale strój był zupełnie inny. Nie zdradzało go nic.

W blasku rześistego oświetlenia tego pokoju Loiska jeszcze się wydała staroście piękniejszą, a tak młodziuchną, że nietylko lat dwudziestu kilku by jej nie dał, ale przysiągłby na piętnaście. Przy całym rozumie oczów, miała razem coś dziecinnego, coś naiwnego i można było powiedzieć... dziewiczego.

Nazwisko starosty zbyt go tu czyniło pożądanym gościem, aby mu nie dano pierwszeństwa. Nawet gracze, choć z pośpiechem, odwrócili się od kart, by go powitać, a nieznajomi mu się zaprezentowali.

Tytus z boku ciągle patrzył na gospodynię, jakby ciekawym był, w jaki sposób się obejdzie z pastwą, którą jej rzucił pod nogi.

Loiska była uprzejmą, lecz nadto rozumną, by się zbyt niemi nadskakiwaniem zdradzić miała. Najpospolitsza rachuba kazała się jej z sobą podrożyć. Obchodziła się ze starostą potrosze jakby z młodzieniaszkiem niezupełnie usamowolnionym, do którego postępowania nie przywiązuje się wielkiej wagi. Zagadnęła hrabiego, uśmiechnęła się nawet Tytusowi.

Tymczasem na chwilę przerwana gra z zapalem dalej się ciągnęła, ale w milczeniu, wytrawnych, starych graczy znamionującym.

Otwarte w pokoju gry drzwi do jadalnego dozwalały rzucić okiem na przygotowującą się wieczerzę. Służący właśnie odbijał ostryg beczulkę, bez

których wieczerzy eleganckiej wówczas nie było. Na stole brak wprawdzie dawał się uczuć starych sreber, ale zastępowały je porcelana i szkła pięknie rżnięte.

Dom był na stopie bardzo wytwornej.

Mówiliśmy już, że starosta u kilkakroćmilionowego ojca swego, gdzie stół był zawieszisty, staroświecki, a skąpstwo wielkie, do zbytków wcale nie nawykł. Wszystko więc tu wydawało mu się pańskim, choć niem nie było.

Ale największą panią, pięknnością, manierami, strojem smakownym wydała mu się gospodyni domu.

To, co o niej słyszał, dało mu o niej całkiem inne wyobrażenie. Znajdował ją w porównaniu do swych kuzynek wielkiego świata godną zupełnie stanąć z niemi na równi.

Troszkę tylko była śmielszą...

Tytus w porę jeszcze przypomniał sobie i szepnął mu w ucho, że przyjaciele domu dawali jej tytuł kasztalanicowej, do którego żadnego prawa nie miała.

Młody pan, rzucając okiem na stół gry, przekonał się, iż dla niego niebezpiecznym byłoby się w nią wdawać. Kilka tysięcy dukatów, rozspanych i w rulonach leżało przed bankierem. Poniterowie nie stawiali mniej niż pięćdziesiąt czerwonych złotych.

Przyszły dziedzic fortuny olbrzymiej pensję miał wyznaczoną nadzwyczaj skromną, a choć się z pomocą Tytusa ratować umiał wydawanemi obligami, nie rozporządzał nigdy znaczną gotówką. Tytus i inni zasilali się jego kredytem; rwano go na



wszystkie strony. Życie w Warszawie, przepelnionej ze wsi przybyłymi posłami, ich rodzinami, mnóstwem ciekawych cudzoziemców, było drogie. Przyjemności jego nęcily.

Starosta, jako krewny, ocierał się o koła, w których bawił hetman i dokazywał serdeczny marszałek sejmowy, Sapieha. Musiał nie okazywać się ani skąpym, ani zbyt uciśniętym przez ojca.

Zaczerwienił się więc jak wiśnia i jak te karmazyny, które miał na sobie, gdy mu Loiska wskazała stół i spytała, czyby nie chciał szczęścia spróbować.

Salwował się komplementem.

— Zdaje mi się, że mając szczęście być w panitowarzystwie, grzechem byłoby szukać go w grze...

Loiska się uśmiechnęła.

— Ja bo sama grywam — rzekła wesolo. — Naprzód dlatego, iż się nie taję, że pieniądze lubię, cóż życie bez nich warte? Powtóre, że z tym niegodziwym losem stanąć do walki jest to wielka przyjemność.

— Cóż, kiedy los zawsze zwycięża! — wtrącił starosta.

— O, nie — zaszcebiotała Loiska — ja gdy się uprę, to choć mi się opiera... złamię go!

To mówiąc, chwyciła kartę rzuconą, dobyte woreczka, przycisnęła ją dukatami i podsunęła bankierowi.

Gra zdawała się bardzo gorąco ją zajmować; zwróciła się do niej cała.

— Muszę wygrać! — wołała z dzieciinną pewnością siebie.

Hrabia W. ciągnął, nie mówiąc słowa, nie zwracając oczu. As, na który postawiła, wygrał w istocie. Oczy jej zapłonęły... zagięła parol na nim z gorączkowym pośpiechem.

Inne stawki, daleko większe, odwracały uwagę. Loiska pilnowała swojej... Wygrała znów. Odwróciła się od milczącego starosty.

— Widzisz pan? Jestem taka uparta, że trzeci raz na asa postawię.

— I przegram—odezwał się hrabia W. zimno.

— I wygram — zawołała Loiska.

Po kilku pociągnięciach as wysunął się w istocie, niosąc gospodyni setlewę.

Ze śmiechem, brzmącym jak dzwonek, zgarnęła dukaty do sakiewki i obróciła się do gościa.

— Widzisz pan — rzekła — to wielka nauka! Woła ludzka jest potęgą ogromną, jest prawie wszechmocą. Trzeba mieć ją silną, żelazną, upartą. Nią się do wszystkiego dochodzi.

Starosta pod wcale innym wrażeniem szepnął nieśmiało:

— Do wszystkiego?

Lekki rumieniec okrył śliczną twarzyczkę. Strzepliła włosy, spadające jej nieco na skronie, i patrząc mu śmiało w oczy, powtórzyła dwuznacznie:

— Do wszyst-kie-go!

Potem, jakby się namyśliła, dodała ciszej:

— Ale nie bez ofiar. Alboż to nie ofiara z mej strony, żem moją nieomyślność i wiarę stawiała na kartę?

Spojrzała ku pokojowi jadalnemu i głosik sre-

brny, łagodny zmieniając nagle, zawołała, naśladując ton lokaja, oznajmującego, iż dano do stołu:

— Panowie! ostrygi na półmiskach!

To mówiąc, gdy gracze zatopieni w kartach nie spieszyli wstawać, dała rękę staroście i poszła z nim do jadalni.

— Nie będziemy na nich czekali — rzekła.

Hrabia Teofil, znany ze swego na ostrygi łakomstwa, i Tytus głodny poszli za gospodynią. Z graczy tylko dwóch szczęśliwych wstało.

Starosta był upojony.

Spoglądający nań Tytus widział, jakie na nim gospodyni czyniła wrażenie. Nie można było zaręczyć, czy między nim a piękną Loiską porozumiewania się wejrzeniami jakimiś nie było.

Nim hrabia W., dokończywszy talii, przyszedł do stołu, gospodyni, z wielkiem podziwieniem starosty, odezwała się głośno, tonem najdoskonalej objętymi.

— Panie Tytusie, czy ja się mylę?... Zdaje mi się, że — ale tak — dziś reduca u Marwaniego. Kto był na reducie?

Nastąpiła chwila namysłu.

— My z niej właśnie wracamy — rzekł hrabia, który drugi już tuzin ostryg pochłaniał.

— A! a! i nic mi panowie nie mówicie? — zawołała Loiska. — Ja, chociaż tych brudnych zbiegowisk nie cierpię i nigdy nie bywam na nich, przyznam się, że panom zazdroszczę tego, iż bezkarnie się w tłum wmieszać możecie. Doprawdy, to musi być zabawne!

— Dziś niezbyt wesoło się bawiono — prze-



rwał Tytus, wpatrując się pilnie w gospodynię, która, nie dając najmniejszego znaku zakłopotania, śmiało patrzyła mu w oczy. — Królową reduty była jakaś w klejnoty nadzwyczajnie drogie i wspaniale ustrojona pani.

— A, teatralne klejnoty ze szkielek! — prze-rwała, śmiejąc, się gospodyni.

— Zdaje mi się że nie — mruknął hrabia.

— Wcisnął się na salę — mówił Tytus — nie wiem, fałszywy, czy prawdziwy Barani kożuszek i narobił ogromnego skandalu.

Loiski twarz nie zdradziła się najinniejszem drgnięciem, ani zmianą koloru. Słuchała obojętnie. Starosta powiedział sobie w duchu:

— To nie mogła być ona.

Z twarzy Tytusa tego, co myślał, odgadnąć nie było można.

Hrabia, który jadł i pił z pościęchem, wiedział tylko tyle, że gospodyni nie chciała być odgadniętą i to mu starczyło. Ostrygi były doskonałe.

— Barani kożuszek? cóż to jest? — zapytała Loiska.

— Jakto? panibyś nie słyszała dotąd o Baranim kożuszku? — podchwycił hrabia.

— Ja o kożuszku? — rozśmiała się pogardliwie gospośia. — Ależ kożuch to rzecz obrzydliwa! Pamiętam z lat mojego dzieciństwa zapach jego. Pfe, okropny! Mówcież, co ten kożuszek znaczy?

— Zagadkę — odezwał się Tytus. — Jest to żebrak, zdaje się pomieszanych zmysłów, czy ktoś, co udaje waryata, i korzystając z tego, prawi najnieprzyzwoitsze rzeczy, aby tem wyludzić jałmużnę.

Gospodyni zrobiła minkę pogardliwą.

— Doprawdy, mówić o takich brudach nie warto.

Wtem gracze się wtoczyli, rozmawiając głośno i mając na czele hrabiego W. Zasiadali do stołu, jeszcze prawiać o swej grze i o nadzwyczajnem szczęściu bankiera, a niesłychanej *malchance* podkomorzego, który już był kilka tysięcy dukatów przegrany.

Rozmowa zmieniła się nagle, a korzystając z jej zwrotu i z hałasu, jaki gracze z sobą przynieśli, Loiska poczęła szeptać z zachwyconym starostą.

Nie można było po niej poznać, czy chciała go oczarować, czy tylko pragnęła być grzeczną. Z wielkim chłodem i zręcznością mówiła do niego; ale ta obojętność jej była widać drażniącą, bo niewprawy młodzik sadził się na najgorętsze wyrażenia i zapuszczał za daleko. Ona zbijała go z tego tonu, nazbyt przy pierwszej znajomości rażącego, ale to niewiele pomagało. Para kieliszków burgunda do reszty go spoiła.

Loiska, widząc to, zwróciła się ku Tytusowi, poczęła mówić z hrabią W., dając mu czas do ostygnięcia i opamiętania się.

Po wieczery gry już nie ciągniono dalej. Porą była spóźniona bardzo, goście się porozchodzili. Starosta też musiał pożegnać gospodynię, która z wielką powagą, niemal chłodno, się z nim rozstała.

Na młodzieńcu wywarło to wrażenie takie, iż goręcej jeszcze do tej piękności zbliżyć się zapragnął i na schodach szepnął Tytusowi:

— Jeżeli masz dla mnie cokolwiek przyjaźni, kochany mój, to pomóż mi w tem, abym się mógł do niej zbliżyć. Wzrok ma upajający. Kobiety tak pięknej nie widziałem w życiu, ani marzyłem o niej. Jestem cały przejęty.

— Tak — rozśmiał się Tytus z wytrawnością stałego i doświadczonego zjadacza serc—i nadto jej to okazałeś, więc... musi się z sobą podrożyć. To stary aksyomat, iż gry demaskować zawczasu nie trzeba. Ale... bądź starosta spokojny.

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Kobieta rozumna!—dodał i umilkł.

Pojechali do domu.

Stojący przy baryerze ganku widzowie, którzy mimo deszczu przypatrywali się nadjeżdżającym gościom, wychodzącego staruszka, znanego pod imieniem Baraniego kożuszka całej Warszawie, powitali hałaśliwym śmiechem i wołaniem.

Nawykły do tego starowina, ani się nawet obejrzał.

Głosy tej ciżby, wśród których chyba może słowa dzieciaków kilku brzmiały szydersko, nie były zresztą ani złośliwe, ani niechętne. Wiedzieli wszyscy, że to był bicz na ludzi zamożnych i zepsutych, na tych, którzy serca nie mieli dla nikogo, oprócz dla siebie; ale ulica czuła w nim sprzymierzeńca.

Ulica — to jest wszystko to, co chodzi obdar-te, co głodem przymięra, co przyciśnięte nędzą za-zdrości, co z sercem zakwaszonym cieszy się, gdy



szczęśliwsi cierpią — ulica, która jest namiętą, ślepą, biedną, głupią, ale której wiele przebaczyć potrzeba, bo cierpi wiele, a najczęściej nie wie, co czyni.

Dla tej ulicy Barani kożuszek, wchodzący na redutę po to, aby trwoniących tam grosz na płochą zabawę chłostał i smagał, gdy biedactwo stało na deszczu — był wielce pożądanym. Okrzykiwano go jak posła, którego nędza wyprawiała, pluć w oczy rozpuście.

A jakżeby byli radzi terminatorowie szewccy i uliczniki wcisnąć się za nim, aby posłuchać, aby zobaczyć, jak ta bomba pękać będzie i obryzgiwać złotem szytych panów!

Każdy z nich wiedział, że Barani kożuszek nie szedł tam darmo. Wybuchy śmiechu, które się wkrótce słyszeć dały, tłómaczono sobie żganiem nielitościwego starowiny. Widziano go nieraz czepiającego się magnatów, rzucającego ostre słowa do karet, przed którymi kryły się głowy i okna zapuszczaly, a piesi przestraszeni uciekali.

Gawieź się z początku spodziewała, że go rychło za drzwi wyrzucą; ale dość długi czas upłynął, nim z twarzą zaognioną, z której kawał płachty zerwał w sieniach, Barani kożuszek ukazał się z powrotem.

Gawieź, oczekująca nań, powitała go znów wołaniem, a niektórzy przyklaskiwać mu zaczęli, jakby wiedzieli, iż na sali dobrze się musiał popisać.

Stary, któremu gorąco reduty oddech zatamowało, a może wzruszenie, zdjął z głowy czapkę

i wiatr siwe rozwiał mu włosy... Odetchnął, chwilę zatrzymał się w ganku, spoglądając na czarne niebo, które oświetlone od latarni, potoki deszczu przerzyły, rozepchnął ludzi, co mu na drodze stali, i nie zważając na slotę, z głową spuszczoną powlókł się na miasto.

O trzy kroki już go widać nie było.

Przy ganku stało zawsze poddostatkiem chłopaków z latarkami, którzy, niemających siaków, ani powozów, a mieszkających w bliskości, do domów odprowadzali, bo większa część ulic nie była oświetloną.

Prawdziwy łobuz warszawski, wyrostek kilkunastoletni, znany pod imieniem Juliaszka, który pod teatrem, przy redutach i u każdego pałacu, gdzie tylko balowano, nastęczał się zuchwałem zalecaniem i zaczepiał wychodzących, ofiarując się im ze swoją latarką — spostrzegł przesuającego się starca i... nie mógł wytrzymać, świerzbiał go język.

— Jaśnie wielmożny Kozuszkule! — krzyknął — może jaśnie pan raczy sobie kazać poświęcić do szpitala św. Łazarza.

Starzec z wolna się zwrócił ku niemu; ostygł już był. Wlepił oczy w chłopię wesole i złośliwe. Wzrok ten musiał mieć jakąś siłę straszną, bo Juliaszek zaniemiał, zasromał się, spuścił głowę, jak winowajca i poczuł, że się dopuścił niepoczciwego szyderstwa.

Barani kozuszek stał, z politowaniem, bez gniewu spoglądając na chłopaka.

— Patrzaj-no ty—rzekł łagodnie—abyś sam z tą swoją latarką nie zawędrował gorzej niż do Łazarza.

Moje dziecko, z nędzy w szpitalu umierać sroga to rzecz, ale miłosierdzie ludzkie nie hańbi, a ubóstwo nie zawsze jest występkiem. Tyś próżniak, gonisz za łatwym zarobkiem po nocach, a we dnie próżnujesz. Co z ciebie będzie? he!

Juliaszek języka w gębie zapomniał. Słowa te zaświdrowały mu w sercu.

— I, niech-bo jegomość da pokój—zaskomlał — ot wyrwało się głupstwo.

Tłum, który widział i słyszał obu, brał stronę Baraniego kożuszka; śmiać się zaczynało z Juliaszka.

— Ze starości, z nędzy, z nieszczęścia cudzego—mówił, spokojnie stojąc na deszczu, stary—nie śmieć się i nie urągaj nigdy. Pan Bóg, który biednym błogosławił i królestwo im przyobiecał, mści się za tych, co są Jego dziećmi najmilszymi.

Juliaszkowi łzy się kręciły w oczach, latarka mu drgała w ręku. Szybkim krokiem podbiegł do starego, schwycił rękę jego z poszanowaniem, pocałował i szepnął coś pocichu.

Z tłumu przykłaśnięto.

Barani kożuszek się uśmiechał.

— Ile zarabiasz, odprowadzając do domu?—zapytał.

— Różnie, proszę jegomości, różnie — wyjąknął Juliaszek. — Jak się dobrze trafi, to i dwa złote.

Stary się rozśmiał, rękę włożył pod kożuszek, dwuzłotówkę wyciągnął i wsunął ją w rękę chłopcu.

— Naści—rzekł—świeć na ulicę Krochmalną.

Juliaszek wysforował się natychmiast naprzód



i, nic nie mówiąc, iść począł, wybierając co najsuchsze miejsca, kładki i cegły, które gdzieniedzie wśród błota były pokładzione. On jeden znał tak swe miasto i wszystkie jego brukowe tajemnice, iż wśród najciemniejszej nocy mógł się w niem oryentować.

Z głową zwisłą na piersi, nie mówiąc nic, Barani kożuszek szedł za swym przewodnikiem.

Minęli tak ogród Saski, gdy u wejścia na Krochmalną ulicę starzec zawołał na chłopca:

— Sam tu!

Juliaszek nadbiegł ku niemu.

— Wracaj nazad — rzekł nakazująco Barani kożuszek — ja tu już do mojej budy i bez ciebie trafię.

Klepnął go po ramieniu.

— Posłuchaj dobrej rady. Rzuć tę głupią lartarkę do licha, a ucz się rzemiosła.

Juliaszek się poskrobał w głowę.

— Próbowałem—odezwał się markotno—ta co. Taką naturę mam, że w miejscu mi wysiedzieć trudno. I znowuż te majstrowie psiawiary łają, a ja języka za zębami nie trzymam. Szevc jak mi w pysk dał, tom mu oddał.

Ruszył ramionami.

Stary się roześmiał.

— To się zwalasz—rzekł—a szkoda. Pomódl się, aby ci Bóg dał więcej cierpliwości.

I nim się Juliaszek opatrzył, zniknął mu stary w ciemnościach gdzieś tak, jakby—wedle jego wyrażenia—poszedł wskroś ziemi.

Chłopak postać chwilę zamyślony, spojrział w la-

tarzę, w niej jeszcze łożówki zostało, i kopnął się napowrót do Marwańogo.

Kożuszek tymczasem niepostrzeżony, mimo nocy ciemnej nie potrzebując się przypatrywać dobrze znanej drodze pod parkanami, szedł dalej Krochmalną ulicą. Tu, wśród drewnianych domostw po większej części, stała odosobniona jednopiętrowa kamieniczka, która nad niemi górowała.

W oknach pięterka jej nie było światła; dolne, okiennicami nieszczelnie pozastłaniane, po lewej stronie światelka z wewnątrz przepuszczały. Staruszek cicho się zbliżył do drzwi, klucza dobył z kieszeni, otworzył, wszedł i zamiast w lewo, obmacawszy drzwi, skierował się na prawą stronę. Nie potrzebował, aby mu świecono do otwierania, znając dobrze miejscowość.

Izba, do której wszedł, była ciemna, ale i tu omackiem stary na kominie krzesiwo znalazł, hubkę i siarką napszczone drewienieka. Wprędce zaświeciła hubka, zapaliła się siarkowana drzazga, a od niej świeca na kominie przygotowana.

Gdy się rozjaśniło w izbie, można w niej było dostrzedz tapczan niezastłany niczem, na którym odzież jakaś złożona było, stolik przy ścianie z różnemi na nim gratami, ławę zapyłoną i podłogę nieumiataną oddawna. Była to pustka, a chłód w niej przejmujący kazał się domyślać, iż jej nie zamieszkiwano.

Stary, wszedłszy, rzucił z siebie natychmiast obmokły kożuszek, który na ścianie, obok dwóch zupełnie mu podobnych, powiesił. Siadł na tapczanie, zdejmując z nóg zblocone obówie, które przygoto-

wane długie buty zastąpiły. Czapkę położył na stole. Wdział kapotę szarą, a nareszcie otarłszy twarz, włosy rozczochrane i brodę przyczesał.

Zmiana ta ubrania uczyniła go prawie innym człowiekiem; twarz nawet wyraz jakiś spokojniejszy, smutny a poważny przybrała. Wyglądał jak zamożny mieszczanin jakiś i nic już żebraczego nie miał w sobie. Westchnął, pocierając czoło, i ująwszy świecę z komina, wyszedł z izby, którą starannie na kłódkę zamknął za sobą.

Sień domu niewielka była, ale czysta. Schody drewniane prowadziły na pięterko.

Stary, nim wszedł na nie, zapukał na lewo. Za drzwiami poruszyło się coś. Niemłoda kobieta, trzymając kądziel w rękę, otworzyła je i poczęła wołać:

— Zaraz! zaraz!

Wewnątrz izby widać było piec i kuchenkę, przybory jak zwykle dla czeladzi. Na ognisku jeszcze płonącym gotowało się coś. Dziewczynka, wyrostek, z podkurczonemi pod siebie nogami, drzemiała pod piecem.

— Jak-bo jegomość dziś późno! — zawołała schrypłym głosem zaspanym kobieta, krzątając się około garnków. — Na dworze taka plucha zimna, że i psa nie wypędzić. Jeszcze choróbska jakiego, Pannie Boże uchwaj! jegomość się nabawi.

Stary, nie zważając na to gderanie i wcale nie odpowiadając, w milczeniu począł się drapać na górę.

Tu drzwi nie były zamknięte. Przedpokój, czysto utrzymany, przeszedłszy, stary znalazł się w spo-



rej izbie gościnnej, bardzo schludnie utrzymanej i niemal eleganckiej. Sprzęt był nie nowy, ale dosyć wykwintny, sofa i krzesła pokryte spłowiałym adamaszkłem, stół zawieszony kobierczykiem. Zwierciadło stare, trochę poobijane weneckie i para ciemnych obrazów przyozdabiały ściany. Komódka saskiej fabryki stała w kątku.

Widać było jeżeli nie dostatek, to przynajmniej nie nędzę, a czystość i porządek mile uderzały oczy.

Przeszedłszy ten pokój, stary ze świecą wszedł do sypialni. Ten sam ład i tu panował. Łóżko ze starym pawilonem w kątku, wielka szafa stara, kilka krzeseł, kufków para ubierały ten pokój; lecz najwięcej miejsca zajmował olbrzymi stół, spłowiałą i podartą makatą zasłany, tak zarzucony mnóstwem papierów, broszur, książek, świstków i wszelkiego formatu starych i nowych ksiąg, iż nie było na nim ani kawałeczka miejsca próżnego. Najwięcej było kartek luźnych drukowanych, plakatów i tych ulotnych pisemek, które tysiącami wyrzucały codziennie drukarnie czasu sejmku czteroletniego.

Na rogu stołu, w miejscu, na które naprzód się zwróciły oczy wchodzącego, leżała paczka sznurkiem związana. Schwycił ją, postawiwszy światło, i natychmiast z gorączkową ciekawością przepatrywać zaczął. Jedną po drugiej odkładał kartki, to ramionami zżymając, to uśmiechając się do nich, to brwi marszcząc. Były tam i drukowane głosy sejmowe, i wierszyki na bibule, i rękopisy pośpieszną a niewprawną ręką przekopiiowane, wydania Grölla i dru-

karń innych, które wołały kłaść Alethopolis, lub coś podobnego na tytule, niż firmę własną.

Wprawne oko starego wszystko to przebiegało prędko; niektóre tylko ważniejsze rzeczy odkładał na stronę. Lecz papierów było tak sporo, iż zaczytawszy się w nich, nie spostrzegł się stary, gdy przyodziana już kobiecie na próg weszła, cicho i ostrożnie szepcąc:

— Wieczera na stole... niech-że jegomość nie da stygnąć.

— Maciej gdzie? — zapytał, nie podnosząc oczu od swych papierów, stary.

Kobieta milczała chwilę.

— Gdzież, proszę pana, ma być? jak zawszel  
Gdy jegomość się przypóźni, nieboraczysko niepokoi się i szukać idzie. Tak i teraz. Bo, jak Boga kocham, na taką słotę, w taką noc...

— Daj-że pokój, nie gderz — przerwał jej łagodnie stary. — Żebyście się wy mną do zbytku nie opiekowali!

Zamilkła, cofając się, kobieta, a zamyślony starzec wysunął się z sypialni i wolnym krokiem przeszedł do trzeciej izby, w której na rogu dużego stołu przygotowane było nakrycie i wieczera, składająca się z kawalka odgrzanego mięsa i talerza polewki.

Kieliszek wódki poprzedził ją i Kożuszek zaczął jeść zamyślony.

Tymczasem słyhać było drzwi otwierające się na dole, głos gospodyni, potem kroki na schodach, a po chwili mężczyzna słuszny, siwy, wyglądający na starego oficjalistę, z wąsami zawieszonymi, z po-

czciwą twarzą pomarszczoną, a od chłodu teraz zarumienioną — stanął w progu jadalni.

— Znowuś się niepotrzebnie włóczył po deszczu — odezwał się jedzący. — Widzisz, mówiłem ci tyle razy: siedź spokojnie w domu. Mnie nic się nie stanie, nic — ja się już znam i z ulicami i z ludźmi.

— Ale bo, proszę pana — przerwał serdecznym głosem p. Maciej.

— Mój kochany, już mnie nie nawracaj — westchnął stary. — Com zaczął, dokończyć trzeba.

Obaj zamilkli.

Po chwili cicho zapytał pan stojącego u drzwi:

— Byłeś u ks. podkanclerzego?

— Byłem i nieraz — odparł Maciej. — Nie można się było docisnąć. Właśnie mu przychodzili wszyscy pono nominacyi wieszować. Stojąc w kancelaryi, nasłuchiwałem się, jak pisarkowie drwili, że tacy teraz z respektem przybywali, co wczoraj mu się nie kłaniali na ulicy.

Nie było odpowiedzi; stary krajał twarde mięso, zamyślony.

Maciej dodał po krótkiem milczeniu:

— Przyniosłem wszystko, co się gdzie ulowić dało, i położyłem na stoliku.

Stary głową kiwnął.

— Wiązka spora!

Ruszył ramionami. Znow nastąpiło milczenie; Maciej spoglądał z ukosa, nie odchodząc. Zdawał się coś jeszcze mieć do powiedzenia, z czem sam wystąpić nie chciał. Czekał..

Wieczera już się miała ku końcowi.



Stary, otarłszy usta, powstał, a Maciej, świecę zabrawszy, przeprowadził go do sypialni.

— Rozbierać mnie nie potrzebujesz — odezwał się, za stół siadając do papierów, Kozuszek — idź spać!

Maciej się wstrzymał jeszcze, zawahał i szepnął coś pocichu na ucho siedzącemu, jakby i tu nawet, gdzie sami we dwóch byli, obawiał się podsłuchania.

— Wiem! — odparł, marszcząc się, stary i ręką dał mu znak, aby odszedł.

Nastąpiła na mało uczęszczanej ulicy cisza głucha i deszcz już tylko na dach spadający, a rynny, przez które potoki się lały, przez noc całą sycząc było.

W kamieniczce pogasty światła i w jednym tylko oknie sypialni długo blade światelko migało.

Nazajutrz deszcz trochę ustał, chmury się podniosły, wiatrem północnym pędzone, posiniałe i szkliste... na mróz się zbierać zdawało.

Około dziewiątej godziny zapukano do drzwi. Maciej poszedł otworzyć. Mężczyzna, cały osłonięty płaszczem, w czapie na uszy naciśnionej, tak, że twarzy jego nie można było rozeznaczyć, poszeptawszy coś ze sługą, z nim razem pośpiesznie wszedł na górę.

Tu, gdy ciężką zrzucił w przedpokoju opończę, odprostował się i twarz odkrył — okazał się lat zaledwie średnich mężczyzną, piwnych, żywych oczu, pięknych rysów, odkrytego czoła, fizioognomii szlachetnej i sympatycznej.

Typ to był zresztą pospolicity dosyć zamożnego

szlachcica, napół żołnierza krwią i postawą, szerokiej piersi, silnej dłoni, lecz złagodniały, jakby wpływem epoki, wśród której żyć mu przyszło. Ubiór polski niewykwintny, ale od sajety i jedwabiu, dowodził dostatku.

Nie był to pierwszy lepszy Maciej kłaniał mu się z respektem wielkim, drzwi szeroko, nie oznajmując go, otworzył i wprowadził do bawialni.

Z sypialnej izby natychmiast wyszedł stary, który już był ubrany po wczorajszemu. Postrzegłszy gościa, dość żywo i z uprzejmym twarzy wyrazem podszedł ku niemu. Ścisnęli się za ręce.

Maciej natychmiast zniknął i kroki jego na schodach słyhać było.

Przybyły gość, zaproszony, zajął miejsce na sofie, stary siadł przy nim na krześle.

— Nic nowego?—zapytał gospodarz po chwili.

— Owszem, nowin jest dużo — odezwał się przybyły.—Nie wszystkie dobre, pewnie połowa nieprawdziwych, bo się one na bruku naszym rodzą, jak grzyby po deszczu; ale... próżniacy i plotkarze mają czem żyć.

Spojrzeli na siebie:

— Ja się pana pisarza o te brukowe efemerydy nie pytam—rzekł Kożuszek.—Cóż... u nas!

— Zbliżamy się do celu—szepnął pisarz.

— A król?—zapytał gospodarz.

Nastąpiła chwila długiego milczenia. Zapytany westchnął.

— Król... król — począł powoli. — A! dużoby o nim mówić potrzeba. Niepodobna nie uledez urokowi tego człowieka, ktokolwiek się doń zbliży. Naj-

milszy z ludzi, jeden z najdowcipniejszych i najuczciwszych monarchów swojego czasu. Sąd o rzeczach trzeźwy, serce dobre...

Tu pisarz załamał ręce.

— Cóż po tem—odezwał się—kiedy charakteru niema? Siły mu brak do dobrego i do złego zarówno i... kwoki panują nad nim. Znacie go, jak wszyscy.

— Pozwólcie—przerwał stary. — Jest to zapewne nieszczęście wielkie ten brak woli i wytrwania, lecz z drugiej strony w tym momencie, gdy już nad jego umysłem pan Ignacy uzyskał pewną przewagę, gdy i podkanclerzy nie jest bez wpływu, gdy widocznie pochylać się zaczął...

— Nawet się zupełnie zdaje nawrócony—dodał pisarz—ale kto za jutro zaręczy? Wieczorem z głuchym Wilczewskim przekrada się na konferencye nasze, jakby spiskowiec jaki. Piatoli, Ignacy *e tutti quanti* starają się w niego wlać ducha. Zapala się, wtóruje, rzuca myśli doskonałe, przyklaskuje naszym, cieszy się, unosi... Myśmy w siódmym niebie! W kilka godzin potem głuchy Wilczewski odprowadza go nazad do sypialni, Tu starosta piaseczyński szepce mu, że pani Krakowska nań czeka. Wistocie ona i Mniszchowa od godziny nudzą się w salce bocznej. Król, po odbytej pańszczyźnie z nami, znużony tem, czemeśmy go karmić musieli, wita z radością przynoszące mu rozrywkę niewiasty. Ryks podawać każe herbatę i owoce. Zasiadają w małym kółku. Pani Krakowska powraca od prymasa i wiezie z sobą wyziewy atmosfery, którą była otoczona. Pierwsze z ust jej słowo brzmi



w uszach pana, jak okropny dysonans. Lecz niedawno on sam wtórował z tego tonu. Potrzeba przed kobietami ukryć zmianę, jaka zaszła w umyśle. Uśmiecha się i potakuje. Przywiezione przez panią Krakowską ziarna kielkują, oddziaływają. Król stygnie... Wszystko to, czemu przed chwilą przyklaskiwał, wydaje mu się teraz nedorzecznnością. Pan Ignacy jest utopistą, ks. Piatoli nie zna kraju... Król wzdycha... Powoli zaczyna szydzić z tego, co przyniósł z sobą, otrzeźwia się i idzie spać zgryziony, nie wiedząc, z czym się jutro obudzi. Nazajutrz zrana rozmowa z Bułhakowem. W sekrecie wyprawia się list do Szczęsnego; król chodzi smutny aż do wieczora. Wilczewskiemu daje się prowadzić aż do progu, z najmocniejszym przekonaniem, iż się tu utopiom oprze z całą siłą przygotowanych argumentów. Bał przestąpiwszy próg, powitawszy swych współpiskowych, powraca do wczorajszego toku idei... W duchu powiada, że prymas jest uparty, a Piatoli najmędrszy z ludzi.

Kończąc, westchnął pisarz. Gospodarz słuchał z miną posępną.

— Niemniej potrzeba na słabego działać, pilnować go i mieć z sobą — rzekł zcicha. — Bez niego się nie obejdziemy.

Znów wymieniali wejrzenia.

— Wypadki we Francyi wpłyną na reformę u nas—dodał stary.

Pisarz się boleśnie uśmiechnął.

— Nie wiem — rzekł. — W naszych pojęciach zamieszanie jest wielkie. Francya zdaje się więcej ku republikańskim dążyć formom, a u nas najzago-

rzalsi republikanie stać będą przy starych prawach i bronić żrenicy wolności.

— Tak, na nieszczęście, my mamy z przeszłością do walczenia... i z natógami wielą. Moznaby słownik ułożyć tych wyrazów, do których się u nas fałszywe przyczepiły pojęcia. Mamy do walczenia z dykcyonarzem. Począwszy od naszej wolności, wszystko w nim przerobić potrzeba.

— Jednakże—dodał pisarz — nasz obóz się powiększa. Mamy adeptów.

— No, i nieprzyjaciele wyrastają jawni — rzekł stary.

— Tem lepiej—zawołał gość. — Niech podniosą przyłbice: obliczymy się.

Pomilczeli chwilę; stary miał twarz zasępioną.

— Mówcie, co chcecie — odezwał się—Lucchesiniemu nie wierzę i tego ich pruskiego przymierza, w które biją, obawiam się.

— A! — krzyknął gwałtownie pisarz — to pan z nas jesteś jedynym niedowiarkiem. Zapewne ja mam to we krwi, jak wy wszyscy, iż Niemcowi nie ufam, ale tu, gdzie go własny interes prowadzi...

Gospodarz mocno usta wykrzywił.

— Pamiętajcież — zawołał — abyście się do nakarmienia czemkolwiek sprzymierzeńca przygotowali. Gdańska zechce, lub...

— My ani piędzi ziemi — zawołał pisarz — nie damy!

— Nie ufajcież przymierzemu—zakończył stary.

I pomyślawszy, dodał z przyciskiem:



— Lucchesiniemu nie ufam i boję się go, tego szatana o jednym oku.

Pisarz, czy nie chciał na to odpowiadać, czy zdało mu się, że o Lucchesiniego nie warto się spierać, nic nie odpowiedział.

— Trudności — rzekł — i z ludźmi i ze sprawą będzie niemało. Ci nawet, co mają pragnienie reformy i czują jej potrzebę, nie wiedzą jasno, co począć.

— Tak! tak! — potwierdził Kożuszek — trudności z tego wynikają, co nam przeszłość zostawiła. U góry trzeba wyrobić siłę, której u nas monarcha nie miał, a u dołu dać swobodę. Dla obojga moc tę zkąd weźmiemy, jeśli jej nie zaczerpniemy ze środka, z tej skarbnicy szlacheckiej, w której było wszystko zamknięte i zmonopolizowane? Oczywiście rzecz, że ci, którym odbierają to, co posiadali, opierać się będą spoliacyi. I ta nasza przyszła ustawa, o której dojście do skutku tak się troszczymy, ma to w sobie osobliwego, iż gdy gdzieindziej monarchom władzy ukrócają, my jej naszemu dodać chcemy... A w przeszłości obok szlachty czy uszlachcony, czy tylko uszlachetniony lud ma stanąć.. to jest miliony za krocie...

Przeszedł się po izbie stary, z czołem zasępio-nem myślami:

— Wszystko to dobre — westchnął. — Jest w narodzie popęd, instynkt jakiś, że chwila przyszła, gdy się ratować potrzeba nowemi prawami, albo gi-nać. Szlachetniejsi gotowi są do ofiar. Wszystko to dobre — powtórzył — ale (tu zwrócił się do pisarza z twarzą zaognioną i rękami rozpostartemi) *quid*



*leges sine moribus?* Poprawiaż nas ustawy? Na obyczaje spojrz... co się to z nami i u nas dzieje? Zgroza! Ten sejm, ci ludzie dobrej woli, usposobień szlachetnych, patrz jak żyją! Jest li tu co poszanowanego? Świętość małżeństwa, powaga starości, niezłomność słowa, godność człowieka? Szał jakiś ogarnia wszystkich; zbytek, rozpusta, używanie życia bezrozumne pochłania, opanowywa, poniża... Wy myślicie o ustawie; ale potrzeba jakąś grozą i srogiem działać na tych ludzi, aby ich na lepszą wprowadzić drogę. Republikanami się być chlubimy, a gdzież cnoty republikańskie i gdzie obyczaje spartańskie? gdzie czystość sumień i rąk?

Starzec zamilkł, pisarz się począł uśmiechać.

— Wsiadłeś-bo pan na swojego konika — zawołał. — Ale trudno, aby wszyscy święci byli. Ludzie są ludźmi, słabości wiele przebaczyć trzeba.

— Słabości! błędów! — przerwał Kozuszek — a! zapewne, ale nie bez wstydu i nie nałogów obrzydłych, nie takiego obłąkania, które z tych, co prostą idą drogą szydzi... bo prawem się stało i obyczajem.

Pisarz widocznie chciał zwrócić rozmowę i zamilkł.

— Partya nasza — dodał — coraz rośnie, przeciwna maleje. Wiele siły nam dodaje, żeśmy po-  
 czciwego Arystydesa Małachowskiego wybrali za wodza... no, i księżę Kaźmirz bardzo nam jest po-  
 żyteczny.

Stary się rozśmiał trochę złośliwie.

— Zapewne, zapewne — rzekł — znaczy to coś, że piękny, czysty, z pewnych względów rzymskich

czasów godny charakter stoi na czele. Małachowskiemu nic ująć nie można, oprócz, że pocziwski głowy wcale nie ma i że zamiast, coby on was miał prowadzić, wy jego prowadzicie, chociaż się mu zdaje, że on to robi, co mu zręcznie podszeptują. Cienia w nim niema somolubstwa, prywaty... ale cnotą swą dumny, a ślepy.

— Zaręczam wam, że widzi to dobrze, iż reformą nas tylko zbawi—rzekł pisarz.

— Lecz onby jej nawet, i listy Kollątaja przeczytawszy, nie wymyślił—dokończył stary. — Co się tyczy księcia Kaźmirza...

Tu pisarz mu podchwycił:

— To także szlachetny charakter.

Starzec się wykrzywił.

— Pieszczoszek matczyn — no, i hetmana siostrzeniec — rzekł. — Powiedz mi asindziej, ile razy naczczo był w Izbie?

Pisarz śmiał się.

— Co nie przeszkadza — wtrącił— że tęgą mowę palnie, głowę sobie zmywszy zimną wodą. We drzwiach zwykle, gdy ze śniadania przychodził, łapią go nasi. „Książę masz mówić!“ — Ba! o czemże?— „Poprzesz silnie stutysięczną aukcyę wojska.“ — Ale głowa moja! — „To nic, jeszcze jest pół godziny czasu.“ I książę tnie mowę z zapałem, ze świetnością, z gorącością ponczu burgundzkiego.

— Ale zlitujcie się — przerwał Kożuszek — ten, żebyście go na nie wiem co zakłęli, gdy pałkę zaleje, przed matką lub wujem wypowiada się z projektowanej ustawy i wszystko w łeb weźmie.

— Ale, mój dobrodzieju — zawołał pisarz we-



soło — on o ustawie jak w rogu i wiedzieć nic nie będzie, aż gdy ona przyjdzie na stół.

— Jakto? jeden z marszałków sejmu, co ma przygotować tę wiekopomną ustawę, nie wie do ostatniej godziny, nad czem pracuje?

Pisarz poruszył ramionami i śmiał się.

— Tak jest, na to wam przysięgam!

Staruszek, nie wydając głosu, rozśmiał się ustami tylko.

— Co za społeczność, wśród której spiskować potrzeba, aby dojść do celu, wszystkich bijącego w oczy!

Chwilę tak jeszcze rozmawiali o sprawach sejmowych, a gospodarz słuchał dawanych mu informacji, to się zasępiając, to ciesząc, ale niezbyt gorąco i jakby niezupełnie w zapowiadany wierzył skutek.

— Ja ci powtórzę — skonkludował — com już rzekł: *Quid leges sine moribus?* Ustawa piękną rzeczą będzie, lecz ona nierychło przerobi nas, a tu *periculum in mora*. Ratować trzeba od rozkładu rzecz naszą pospolitą, szczególnie tę klasę, na której ona stała i długo jeszcze stać będzie. Nim lud z otchłani i ciemności wyprowadzicie na światło, wiele czasu upłynie. Na ramionach szlachty wszystko długo jeszcze spoczywać będzie, a ją zepsucie zjada i toczy... Magnaci, to kosmopolici i dla nich o ojczyznę nie idzie, bo się do innej z tytułami przesadzą. Półpankowie ich naśladowają dla tonu, a i po wsiach zaraza złych obyczajów i lekkości już się zakrada. Gdy runą te stare podwaliny gmachu, padnie i on!



Pisarz zadumał się.

— Średnia klasa, lud—przebąknął nieśmiało.

— Obojga niema—zawołał stary. — Dekert nie stworzy jednej, a ksiązę Stanisław z Brzostowskim drugiego. Lat, wieków potrzeba, aby się to wyrobiło, czego tylko jest ślepy zawiązek, a tymczasem co zbudujecie na tych, którzy nie patrzą z kąd pleńiądze biorą, którzy w służbie rzeczypospolitej obcych mocarstw tytułują się generałami i pułkownikami, a byle im dano wysokie stanowisko, wszystko za nie sprzedadzą?

— Pan bo widzisz wszystko w zbyt czarnych barwach—zawołał pisarz. — Sam przyznajesz, że jest poczucie potrzeby reform, instynkt szlachetny, do ofiar gotowość. Powoli poprawimy się.

— Nie, nie!—rzekł uparty Kożuszek — nie! poprawimy się dopiero, gdy legniemy pod razami, gdy nas gruzy przysypią, gdy prorocze słowa Skarżi i Jana Kaźmierza się sprawdzą. Bądź wola Twoja!

Głowę pochylił stary; ale po chwili podniósł ją nagle z twarzą wypogodzoną i zawołał z zapalem:

— Bądź co bądź, pisarzu, *usque ad finem* róbmy każdy swą powinność. Gdy twierdza jest obleżoną, choć niema najmniejszej nadziei obrony, ani odsieczy, żołnierz pocziwy walczy do ostatka i daje się zabić na wałach. Tak i my: jedni w sejmie, drudzy w ulicy, trzeci na kazalnicy, inni w szkole... powinniśmy czynić, co do nas należy.

Pisarz się podniósł z sofy, dobył jakiegoś świstka i począł czytać satyryczne wierszyki, które te-

go dnia w fiakrach i na ławkach Saskiego ogrodu rozrzucone były. Śmiał się z nich, czytając, a i staruszek rad im był. Uderzył ręką po papierze.

— I to się przyda — rzekł. — Ten, co to pisał, zdało mu się, że złości swej dogodził, a sam nie wiedział o tem, że moralności mimowiedzy służy. I koncept niekiedy oczy otwiera. Mówią, że *natura maxime miranda in minimis*, a ja mówię, że Pan Bóg najcudowniejszy, gdy przez błaznów uczy filozofów i statystów rozumu.

Pisarzowi już pilno było; poszeptali coś z sobą, wymienili papiery. Jakieś, gospodarz na zegarek spojrział i gościa do przedpokoju przeprowadził, powołując Macieja do siebie. Lecz właśnie kiedy ten pisarzowi drzwi otwierał, aby je za nim zaryglować, ukazał się w progu ich, w czarnym płaszczu z puszką blaszaną pod szkaplerzem, braciszek od Bonifratrów po kweście.

Ponieważ gość wychodził z domu, kvestarzowi zamknąć drzwi przed nosem nie wypadalo; oprócz tego przyjęto za regułę, że chodzących za jałmużną, gdy pan był w domu, puszczano. Wskazał więc stary Maciej braciszce na schody, a ten puszkę swej dobywszy z pod sukni, powoli wszedł na nie i do salki, w której się jeszcze stary znajdował. Zobaczywszy kvestarza, sięgnął po sakiewkę; lecz Bonifratr, który już był wyciągnął puszkę, spojrzawszy na twarz gospodarza, w którą się wpatrzył z wyrazem niezmiernego podziwienia, stanął jak osłupiały. Ręka wyciągnięta z puszką drżała, na



twarży jego malowało się niedowierzanie, zdumienie, ciekawość, prawie przestach.

Usta otworzył i poczętej prośby o datek dla szpitala nie umiał dokończyć.

Stary postrzegł to.

— Co się tak, braciszku, wpatrujesz we mnie? — rzekł trochę zmienionym głosem.

Braciszek, posłyszawszy mowę, jeszcze dziwniejszą twarz zrobił.

Stary począł się uśmiechać.

— Co we mnie znajdujesz tak dziwnego? — wyjąknął, rzucając dwuzłotówkę w skarbonę.

— Jaśnie wielmożny pan przebaczy mi — odezwał się pokornie Bonifrater. — Głupie oczy moje, nie wiedzieć, co im się przywidziało.

— Hm, cóż takiego? co? — zamruczał, trochę się zasepiając, stary — radbym wiedzieć.

— Bez urazy, niech pan daruje... osobliwe podobieństwo — mówił Bonifrater. — Ale bo nawet i w głosie.

— Do kogo? — szepnął markotno gospodarz.

— Wstyd wyznać — mówił, śmiejąc się, brat — do tego waryata, co go zowią Baranim kozuszkciem.

Gospodarz zaczął się śmiać na głos i wziął się aż w boki, ale mu się brwi ściągnęły i usta zdawały się gniewem kurczyć.

— A toś mi pochlebne znalazł podobieństwo do jakiegoś włóczęgi! — zawołał. — Barani kozuszek... cóż toto jest?

— At, fiksat, którego do ciupy zamknąć warto, a zimną go wodą oblewać — rzekł Bonifrater. — Ja z nim często u furty baraszkuje; ale to zajadła żmija.



o! i nie głupi, jak wszyscy waryaci, w których głowie rozum niekiedy pobłyskuje. Nikomu nie daruje, szydzi, żga, wyśmiewa...

— Hm, hm! — rzekł stary. — A nic do rzeczy? bez sensu?

— No, nie można powiedzieć, aby ód rzeczy plótl — odparł Bonifrater — tylko zły jest i kasa, a to też fiksacya, bo go za to prędzej, czy później albo zamkną, albo wyświecą.

Gospodarz stał chwilę zamyślony.

— Możebyś się kieliszek wódki napił? — odezwał się, idąc do drugiego pokoju i przynosząc fiaskę z sobą. — A proszę was, o takim jakimś podobieństwie, któreście upatrzyli między mną...

Tu się począł śmiać. Bonifrater protestował, kieliszek biorąc do ręki.

— Ja przecież od lat wielu jestem mieszczaninem stolecznego j. k. mości miasta Warszawy i mam tu, jak widzicie, posesyę własną, a brata, ani swata w całym mieście nie znam.

Braciszek się uniewinniał.

— Pan mi daruje... at, stare oczy. Nawet pan słusznieszego wzrostu i tylko te siwe włosy i broda...

— Aleś bo mnie nieosobliwie zaszczycił! — dodał, żegnając się już, stary.

Bonifrater, usta otarłszy po wódce, z niskim ukłonem do drzwi już uchodził, a stary, fiaskę odniósłszy, zadumany powrócił do jadalnego pokoju.

Maciej stał w progu. Poszeptali coś z sobą pocichu. Stary zszedł ze schodów sam, skierował się do izby, w której wczoraj złożył swe maskaradowe przebranie i zamknął się w niej na czas jakiś. Ma-

ciej, wzdychając, stał we drzwiach na czatach i niekiedy spoglądał na ulicę, w której nic widać nie było, oprócz kilku furek drzewa, ciągnących od Woli po rozmieszonym wczorajszym deszczem błocie.

Nagle z lewego alkierza wyskoczył żebrak w baranim kożuszku, z rozczochranym włosiem, z kijkiem w rękę, w ladajakich chodaczkach, odarty i brudny. Nie spojrzawszy na Macieja, wybiegł w ulicę i popędził popod domami a parkanami ku Saskiemu ogrodowi. Dopiero, dochodząc do niego, zwolnił trochę kroku, odetchnął i, podniósłszy głowę, szedł śmiało, szyderskie strojąc miny. O trzy kroki przed nim Bonifrater kwestarz, idący ulicą, zobaczył go, stanął znów osłupiały i miał wielką ochotę bliżej mu się przypatrywać, albo i pogonić za nim, gdy Barani kożuszek skorzystał z pierwszej bocznej uliczki i pierzchnął tak, że mu znikł z oczów.

---

W tych latach lepsze towarzystwo w Warszawie i to, które albo się z niem łączyło, lub naśladować je pragnęło — nie wstawalo rychło. Damy, które z balów, wieczery przedłużonych, lub od gry powracały nadedniem, sypiały do południa. Ranne wizyty, przy czekoladzie, niektóre z nich w łózkach przyjmowały po pierwszej godzinie, niektóre i później. O dwunastej przedpokoje napełniali zwykle przekupnie, faktorowie i faktorki, bez których się nikt nie obchodził.

Pani Loiska, inaczej zwana piękną kasztelanicową, pilnie tego strzegła, aby jej dom zdawał się

być na pańskiej stopie. I tu więc dopiero o południu dniało.

Lecz nazajutrz po bytności pana starosty i reducie Loiska wyjątkowo wstała wcześniej, włożyła turecki szlafroczek i do niego dobrane pantofelki cudnie haftowane i włosy śliczne przewiązała wstążką. Zdawała się oczekiwać na kogoś.

Otyła, ospowata, bardzo, mimo tuszy, fertyczna sługa faworyta, panna Brygita, Brysią poufale zwana, kręciła się już około pani, która nieustannie czegoś potrzebowała.

W stroju tym porannym Loisce było cudnie. Z pod szlafroczka rozpiętego widać było spódniczkę białą jak śnieg, całą naszywaną szlarkami i salbanami haftowanymi misternie. Z pod szerokich rękawów wystające rączki z paluszkami długimi, jakby wytoczonemi, zdały się do całowania stworzone.

Przeglądała się w lustrze, zawieszonem naprzeciw berżerki, w której siedziała z tem zadowoleniem, jakiego doświadczają piękne panie, gdy zrana odświeży je sen, zarumieni i odmłodzi. A ona nie potrzebowała jeszcze odmłodzenia; wiek nie ośmielił się na tem obliczu marmurowem zapisać daty żadnej. Zdawała się jakby urodzoną wczoraj i na nieśmiertelność przeznaczoną. Patrząc na nią, niepodobna było przypuścić, aby kiedy zestarzeć się mogła.

Uśmiechała się do twarzyczki swej w lustrze, zdając się mówić do siebie: Któż ci się oprzeć potrafi?

Młodość tę i świeżość winną była może Loiska temu, że nigdy niczego nie brała mocno do serca. Nie umiała kochać i pocichu śmiała się z tych, co się kochali, zakochiwali, lub szaleli z miłości. Ale



wiedziała bardzo dobrze, iż miłość jest doskonałym narzędziem do... robienia interesów. Pozwalała więc kochać się w sobie, grała, gdy było potrzeba, uczucie bardzo zręcznie i żyła tak, będąc pewną, że i piękność zachowa i celu dopnie.

Chociaż w domu pięknej kasztelanicy swoboda była wielka i można było o nim mówić różnie, nikt nie mógł poszczycić się szczególną łaską pięknej Loiski. Domyślano się, szeptano, ale jawnych dowodów nie było. Amantów miała mnóstwo, preferowanego nie znano.

Hrabia W., który u niej grywał, już nie młody, obchodził się z nią protekcyjnie i nie miał najmniejszego podobieństwa do zakochanego. Zimna galanterya jego nie była udawaną dla oczów ludzkich, ale najprawdziwszą. Wiedziano bardzo dobrze, iż u kogo innego z wielkiego świata był w łaskach. Tu tylko wygodnie mu czasem banczek trzymać było.

Loisce na wysoko położonych znajomościach, na protektorach u dworu, po ambasadach i t. p. nie zbywało, lecz wszyscy jej służyli w nadziei, która się nigdy nie iścila. Wzdychali biedacy, żalili się, a bogini i królowa, gdy już ich o apostazyę posądzała, umiała jednym wejrzeniem nanowo do siebie przywiązać.

Była tak śliczną...

Spodziewano się kogoś i pani zaczynała okazywać niecierpliwość pewną, gdyż godzina biła, w której i inni natrętni goście nadejść mogli, i przerwać konferencyę.

Dzwoniła parę razy na Brysię, stojącą na cza-

tach u jakichś drzwi, dla posłuchań tajemnych przeznaczonych, przez które wchodzących nie widzieli ci, co w przedpokoju czekali.

Bronzowy zegar, przedstawiający jakąś świątynię, którą aniołkowie, a raczej amorki, wieńczyły kwiatami, wskazywał już południe; ciemne brwi Loiski coraz się mocniej ściągały, gdy zdyszana Brysia wpadła małemi drzwiczkami, wiodąc za sobą niezbyt młodego, pięknego jeszcze, a, jak na rano, wystrojonego bardzo starannie mężczyznę.

Wygolona twarz jego miała wyraz osobliwszy zalotności, melancholii, galanteryi; ale to była maska, z pod której dobywało się coś demonicznie chytrego, przebiegłego, zdradliwego.

Można było zadrzeć, wpatrzywszy się w tę słodycz. Oczki przymrużone może dlatego pod powiekami się kryły, aby nikt lisiego ich wejrzenia nie zbadał.

— Cóż moja królowa rozkaże? — rzekł z ukłonem niesłychanie wykrygowanym, całując rączkę, którą zatrzymał nieco i ta mu się nie opierała. — O! paluszki te! — zawołał z uniesieniem.

Loiska się uśmiechnęła.

— Siadaj-no, panie pułkowniku. Mam do pana prośbę, prośbę wielką!

Załamala rączki i te paluszki tak piękne pokazały się teraz posplatane cudownie, a że się podniosły, za niemi utoczona biała rączka wyszła z pod rękawów na świat.

— Królowo moja, rozkazuj! — zawołał pan pułkownik głosem jakimś bezbarwnym, który szeleścił

dziwnie.—Trzebaż się zaklinać, iż twe rozkazy zostaną spełnione?

Królowa oparła się na rączce, może, aby ją na uwielbienie gościa wystawić, twarzyczka jej powlokła się smutkiem.

— Ja dla pułkownika nie mam sekretów—rzekła—zresztą, na coby się to zdało? Pan wiesz wszystko a wszystko, co się dzieje w mieście, lepiej niż ktokolwiek bądź inny.

Pułkownik palce położył na ustach i szepnął:

— Tst!

Pochyliła się, patrząc mu w oczy, królowa.

— Pułkowniku, zaklinam cię... niech to zostanie między nami. Byłam wczoraj na reducie. A! mój Boże, po co mnie tam moja ciekawość zapędziła? Ale któż się tego mógł spodziewać? Hrabia W. mi towarzyszył, powóz był najęty.

— Ale ja to wszystko wiem — przerwał pułkownik.

— No więc i to wiesz może, jaka mnie tam awania spotkała.

Ręce znów się załamały.

Pułkownik głową dał znak potakujący. Dwie łzy zbiegły z powiek Loisce, ale to były nie perły bóleści, tylko dwa owoce gniewu!

— Na Boga, mój dobry, kochany, jedyny pułkowniku, dla mnie to uczyn... będę ci wdzięczną.

Tu rumieniec zdradliwy oblał jej twarz i więcej niż słowa powiedział. Zająknęła się.

— Kto jest ten łotr niepoczciwy, ten rozbójnik, ten Barani kożuszek?



Głos jej drżał. Były w nim jęk i złość, gniew i ból.

— Jemu to ktoś chyba podyktował — ciągnęła dalej — ale kto? Ja potrzebuję wiedzieć, co to za... człowiek i kto mu mógł włożyć to w usta. Tego niegodziwca potrzeba... potrzeba uwięzić, zamknąć, ochłostać, wziąć na tortury... niech wyzna!

Zapalała się troskliwie piękna Loiska. Pułkownik słuchał, zimny jak lód.

— W tem sęk, królowo moja — zaczął szeptać. — Powiadasz, że ja wszystko wiem. No tak, nie przeczę, wiem wiele, bardzo wiele. Mogę panu B. donieść, co się wczoraj pocichu w gabinecie króla uradzało; mogę powiedzieć, co pisał Lucchesini do króla pruskiego; mogę zgadnąć, co myśli ks. Kollątaj — a nie wiem, co to za łotr ten Barani kożuszek... Nieraz już on okrutne na siebie ściągał gniewy... chciano go ścigać, starano się dosledzić, co pod tą skórą się kryje. Nadaremnie. Jest to zagadka. Ukazuje się, niknie, bluzga w oczy najpotężniejszym, a gdy go potrzeba schwycić, jakieś siły niewidzialne, jakieś protel:cye tajemnicze go osłaniają.

Loiska słuchała zdumiona niezmiernie i drżąca.

— Jakto? — zawołała — jednego żebraka, włóczęgi, który jawnie się w ulicach codzien pokazuje i jakby wam urągał, występuje tam, gdzie ludzi najwięcej — nie możecie kazać pochwyć?

— Ba! — zawoła pułkownik. — To jest jakaś nierozwikłana zagadka, w tem coś jest niepojętego. Tego łotra w chwili niebezpieczeństwa jakieś niewidome siły osłaniają, bronią. Znika w kamienicach, w których go nawet szukać nie można... lud go bierze

między siebie i — gdzieś się podziewa. Jest czasem w kilku miejscach razem, a nigdzie go pochwycić nie można.

Loiska śmiać się zaczęła.

— Ale cóż - bo za bajki mi prawisz, jak dziecku! proszę cię — zawołała. — To chyba wasze lenistwo, lub... \nie wiem już co... Masz swych ludzi, ja naznaczę nagrodę temu, co go pochwyci... a wówczas... rozumiesz — dodała z gniewem w głosie — możecie osądzić go i zamknąć na wieki, możecie go kaźać powiesić, bo to zbrojca!

Z politowaniem, ale chłodnym, słuchał pułkownik.

— Królowo moja — odparł, cedząc — jakże - bo ci łatwo wszystko! Brać, wiązać, wieszać... Prawda, nawykłaś, śliczna despotko, robić, co ci się zamarzy, posłuszni ci wszyscy; ale... nam nie tak idzie, jak tobie. Są, na nieszczęście, prawa, klauzury... i — mówmy szczerze — to nie jest żaden taki Barani kozuszek, jak ci się zdaje, w tem się coś ukrywa.

— Tembardziej *wam* — dodała Loiska — potrzeba odsłonić tę czarną tajemnicę. Ja przychodzę w pomoc.

Szarpnęła szufladkę stoliczka, aż stojąca na niej filiżanka z niedopitą czekoladą zadzwoniła, dobyła rulonik i gwałtem go wcisnęła w rękę pułkownikowi.

— To dla tego, który pochwyci tego łajdaka. Pułkowniku, ja muszę wiedzieć, kto on jest i kto go na mnie nasadził.

— Królowo moja — cicho odpowiedział pułkownik, trzymając jeszcze rulon w ręku. — Wistocie dajesz mi polecenie, którego trudności nie oceniasz. Mu-



szę ci się wytłómaczyć. Oto raz powracającemu do zamku marszałkowi Mniszkowi, który szedł pieszo i sam jeden, drogę zastąpił ten łotr. Prowadził go tak aż do bramy, prawiąc mu największe obelgi, pobawiane niby w komplimenta. Marszałek, napół żywy, doszedłszy wrót, natychmiast wysłał go łapac. Przepadł jak w wodę... Kilka dni szukano go po całym mieście. Jakby na złość, tam się pokazywał tegoż dnia, gdzie go nie ścigano... wyśliznął się i na niczem się skończyło.

Loiska rzuciła się na siedzeniu zarumieniona.

— To wszystko dowodzi tylko, że u nas policyi niema i porządku! — zawołała.

— Królowo moja — przerwał pułkownik — chyba, że u nas są dwie policye... a to znaczy wistocie, jakby żadnej nie było.

Odetchnął nieco pułkownik i, napawając się widokiem królowej, po której rączkę białą sięgnął i otrzymał ją — dodał po namyśle.

— Bądź co bądź, królowo moja, przyrzekam święcie, że zrobię dla miłości waszej, co tylko się da uczynić. — *L'impossible!* Daję słowo! Wyprawię w tropy za nim wszystkie moje wyżły i psy gończe, a jeśli mi się uda pochwycić...

— Torturami z niego dobyć trzeba prawdy — zawołała Loiska.

— Bylebyśmy go mieli, to i bez tortur się obejdzie — rzekł pułkownik.

I mówiąc to, jakby od niechcienia wsunął rękę do kieszeni, w której rulon, dotąd trzymany, utonął.

— Kochany pułkowniku — dodała, znów się rumieniając, Loiska — będę ci wdzięczną!



Spojrzała wyraziście.

— Ten człowiek... ten człowiek serce mi zranił. Nie mogę dotąd przyjść do siebie. W oczach ludzi rzucił mi obelgę, wystawił na uragowisko! Pragnę zemsty... i jak kobieta, zemsty okrutnej! My jesteśmy namiętne we wszystkim, pułkowniku!

Gość już był wstał, trzymał przepiękną rączkę i patrzył w oczy królowej. Był jeśli nie wzruszony, to roznamiętniony. Loiska, która tego chciała, dobiła go wejrzeniem ognistym.

— Całą moją wdzięczność za zemstę!—szepnęła raz jeszcze.

Gdy za wychodzącym drzwiami się zamknęły, siadła królowa, spojrzała w zwierciadło i postrzegłszy się zmienioną, natychmiast usiłowała spokój w sobie przywrócić. Zburzone uczucia na rozkaz jej skryły się i znikły, twarzyczka wypogodziła, uśmiezek wrócił na usta różowe.

Z przedpokoju szmer mnogich głosów dochodził; ale tam na straży była zręczna Brysia, która natrętnych wierzycieli odprawiała, innych wejrzeniem jakimś i znakami uspakajała, od innych przyjmowała zlecenia... a dziś nikogo do słabej pani nie dopuszczała.

W przeciągu pół godziny cała ta ciżba lichwiarzy, przekupniów, faktorek powoli się porozchodziła. Brysia z obliczem tryumfującym weszła do pani.

— Arona, paniuńciu — rzekła — w jakikolwiek sposób zaspokoić potrzeba. Szmulowa...

Loiska mówić jej nie dała.

— Nie nudź mnie interesami; dziś co innego

mam w głowie. Gdy nadejdzie Tytus — znasz go — wpuść do mnie.

Służący prawie w tejże chwili oznajmił pana Tytusa. Brysia się roześmiała.

Loiska przybrała minę poważną; Tytus wchodził z miną protekcyjną, pańską i chłodną.

— Stawiam się na rozkazy — rzekł, zabierając miejsce, które przed chwilą pułkownik opuścił. — Domyślam się nawet, dlaczego zostałem powołany.

— Ażeby dostać burę — odpowiedziała żywo Loiska. — Jakżeś mi pan mógł starostę pierwszy raz do domu o tej godzinie przyprowadzić?

— Spodziewałem się za to podziękowania, nie bury — rzekł obojętnie Tytus.

— Ale to do niczego niepodobne — przerwała z udanym gniewem pani. — Jakie mieć będzie wyobrażenie o mnie...

— Jak najlepsze — mówił Tytus, gniewu i wymówek wcale nie biorąc do serca. — Widzisz, kochana pani, *je connais mon monde*. Przyniosłem jej klejnot, który mi się z rąk wyślizgnął i jutro możeby się dostał innej, bo mu nadzwyczaj pilno pójść w niewolę. Pani go już masz.

Loiska zdawała się uspokojoną.

— Cóż dalej? — zapytała.

— To już od kunsztu pani i od jej własnych starań zależeć będzie — rzekł Tytus. — Chłopak jest tak miękki, że w jej rączkach da się ulepić... na co go przeznaczysz.

Z tonu i toku, jaki przybrała rozmowa, pani Loiska wcale nie zdawała się rada. Raziło ją, że Tytus nadawał sobie i poufalość, do której nie miał pra-

wa, i śmiał dwuznacznie dawać jej rady. Tego ona nie zносиła od nikogo.

Zamyśliła się, zagryzając usta, może nie wiedząc, jak odpowiadać miała.

— Przyznam się panu, że, pomimo tych świętych nadziei, jakie mi czynisz, wprowadzając pana starostę, ja mu nie bardzo jestem wdzięczną za niego. Młodzików takich, zostających pod kuratelą rodzicielską, nie lubię. Wiesz pan, że się u mnie słuszni ludzie grą zabawiają. Młody chłopak może się zapalić, przegrać, a w moim domu, i tak na obmowę wystawionym, wcaleby to było nieprzyjemnem.

— Sądzę, że się tego niema co obawiać—rzekł Tytus, patrząc na nią zuchwale, co ją w zły humor wprowadzało, bo śmiałość jego obrażała ją. — Starosta nie dla kart tu pewnie przybywa.

Loiska się skrzywiła.

— A więc w nadziei jakichś łatwych umizgów i przepędzenia czasu—odparła.—Wybij-że mu pan to z głowy; mnie to nie bawi.

— Pani dziś jesteś w złym humorze — odezwał się Tytus.

— Jak zwykle.

— Nie, w gorszym, a ja nawet przyczynę gotówem odgadnąć.

Gospodyni się zarumieniła.

— Ciekawam...

— To łatwo—rzekł Tytus—taka nieprzyjemna scena na reducie...

Loiska wyprostowała się, wstała z krzesła i oblała purpurą, ze zmarszczonemi brwiami krzyknęła:

— Cóż to znów?



Tytus śmiał się, nie poruszając z krzesła.

— Niechże się pani nie gniewa — odparł. — Jeżeli nie chciałaś być poznana, potrzeba było ten śliczny pieprzyk zakryć na szyi. Zresztą, któż jej kibicią, płcią i wdziękiem postaci dorówna!

Gdy to mówił, Loiska z największym gniewem szarpała rękawy szlaticzka i oczy jej ciskały pioruny

— Pan jesteś niegodziwy impertynent — zawołała. — Na reducie nie byłam... Słyszysz pan? mówię, że nie była!

— *Je le tiens pour dit!* — rzekł z szyderstwem. Tytus — i... ciągnę dalej, czy pani chcesz, czy nie chcesz słuchać. Zupełnie usprawiedliwiam to, że pani okazujesz się surową i starostę chcesz chłodem swym do rozpaczki przyprowadzić. To strategia znana i nieochybna. Lecz ponieważ ja go tu miałem honor zaprezentować, winienem dać o nim informację. Nie potrzebuję powtarzać, co wszyscy wiedzą, że będzie dziedzicem milionowej fortuny. Charakter szlachetny, unoszący się, zapalny, niedoświadczenie zupełne, wielkie pragnienie życia, serce żądne amarów... wspaniałomyślny i hojny. Tymczasowo mało ma, ale kredyt nieograniczony. Nie jest to więc gość do pogardzenia.

Loiska siadła i zdawała się nie słuchać, czekała końca tyko, lub myśląc o czem innem. Zdaje się, że te odwiedziny Tytusa, których się spodziewała i czekała na nie, nagle jej jakaś refleksja popsula. Złękła się takiego współnika w spisku i zbywała go milczeniem.

— Pani jesteś niewdzięczną — dodał Tytus, udając, że się zbiera wychodzić.

Loiska się namyślała. Nastąpiła pewna zmiana w jej usposobieniu; nie chciała ostatecznie zrażać Tytusa.

— Owszem — rzekła — jestem panu obowiązana za jego dobre chęci dla mnie; widzę z tego, co mówisz, że sądzisz o mnie tak jak inni, co mnie nie znają. Byłam w życiu nieszczęśliwą, uznano mnie ploczą, dlatego, że kłamać nie chcę i nie umiem. Zdaje się ludziom, że to, co widzą, dozwala się wiele więcej domyślać. Nie dbam o to, ale w nowych stosunkach muszę być ostrożną, bo druga omyłka w życiu byłaby zgubną. Pan starosta ożenić się ze mną nie może, a ja niczyją metresą być nie myślę.

Tytus słuchał i usta mu się ściągały tłumionemi uśmiezkami.

— Starosta... widzi pani — rzekł — *il est capable de tout*; ale trzeba umieć się wziąć. W ostatku, jeżeli nie może się żenić sam, to może... ożenić kogo.

Loiska piorunującym zmierzyla go wejrzeniem; nie powiedziała już nic.

— Żądałeś pan mówić ze mną — dodała. — Czy jeszcze mam co wysłuchać?

— Tylko prosby mojej, abyś pani starosty nie zrażała — rzekł Tytus z powagą przybraną. — Zaraz to pani wytłumaczę. Dostało mi się być jego mentorem; jest to zaszczytny, ale ciężki obowiązek. Bój się, aby nie wpadł w złe ręce, wolę go więc powierzyć pani, niż pozwolić, aby go opanowały...

Nie dokończył, bo Loiska dzwoniła na swą Brysę.



Tytus się domyślił, że się go pozbyć chciano.

— Żegnam panią—rzekł—i polecam się lepszemu jej humorowi.

Na tem skończyła się rozmowa, dosyć dla obójga niemiła.

Po wyjściu jego gospodyni radziła się zegarka, czy nie czasby było myśleć o fryzurze i toalecie, gdy Brysia przysła jej coś szeptnąć do ucha.

— Prosić — odparła Loiska.

Znów temi drzwiczkami, któremi wchodził pułkownik, wsunął się ogromnego wzrostu, twarzy polskiej, pięknej, ale wyżytej, zniszczonej, obrzęklej, jakby niewyspanej, mężczyzna w stroju francuskim, niedbale włożonym, niezmiernie pańsko, butno i zuchwale wyglądający. Niepospolite to były rysy tem, czem je uczyniła natura i czem je potem zrobiło życie. Najszlachetniejszy materiał z rąk Bożych wyszedł i został jakby przez nieudolnego kunsztmistrza w obrzydły sposób zeszepecony.

Wyraz rycerski mieszał się tu z cynicznym, rozum przeradzał w szyderstwo bezmyślne, męztwo przetworzyło się w zapalczywość ślepa. Piękne oczy niebieskie miały to spojrzenie, jakie im nadał je prawie zawsze nałóg upajania się... patrzyły szklisko.

Wszedł on tu, jakby do gospody, nie okazując wcale respektu dla gospodyni, z poufałem lekceważeniem. Kapelusz zdjął dopiero, zobaczywszy panią, uśmiechnął się, kiwając jej głową, i bez powitania prawie rzucił się całym ciężarem, dosyć już ciężkiego ciała, na krzesło, ukazując na drugie drzwi, aby ich od natrętów pilnowano.



Loiska zdawała się być zmuszoną do powolności dlań, chociaż ten sposób obejścia się z nią nie był jej przyjemny.

Poszła wydać rozkazy, wróciła i stanęła przed nim. Przybyły patrzył na jej piękność dosyć chłodnym okiem. Jednak wyrwało mu się:

— A, jaka ty zawsze śliczna bestyjka jesteś!

— Panie het...

— Proszę, bez tytułów — ja tu jestem, jeśli już koniecznie chcesz, panem hrabią.

Loiska siadła; hrabia pochylił się trochę ku niej.

— Cha! cha! — rzekł — musisz, kochana moja, dalej prowadzić swą poczętą karierę dyplomatyczną. Wszyscy nasi agenci funta kłaków nie warci, siano wozić im za tobą, *ma chérie*, gdy tylko zechcesz. Komużbyś ty nie dożyła śmiertelnego grzechu z pod serca?

Być może, że misya dyplomatyczna uśmiechała się wistocie Loisce, albo, że ją do innych celów prowadziła. Rozpogodziła się na wzmiankę o niej.

— O cóż chodzi? — zapytała.

Hrabia dumiał trochę. Widać, że to, z czem przychodził, było mu narzuconem i sam tego nie wymyślił. Przypominał sobie, co mu zlecono.

— Widzisz, moja śliczna — rzekł — jest rzecz taka. Knuje się jakiś spisek, *coup d'état*, do którego i króla wciągnięto. O tem wiemy, ale stanowi jego esencję, w jaki sposób ma być wykonany... tego nie możemy pochwycić. Zrozumiej mnie dobrze! Ci, co do spisku należą, jak prości śmiertelnicy, bawić się i grać lubią. Twój dom niema żadnej barwy.

Dobrzeby było ich tu ściągnąć i tybyś powoli coś podsłuchała i dobyła.

— Kogóż mianowicie? — zapytała nieśmiało Loiska.

— Bał o koryfeuszach takich, jak ów purytanin Małachowski, ani myśleć, o Ignacym Potockim także... ale myślę, że na przykład Niemcewicza, Weissenhofs, młodych deputowanych, z dyplomacyi Engeströma, a nawet Lucchesiniego mogłabyś ściągnąć. Zresztą spis ich ci damy.

Loiska pomyślała trochę.

— Dom otworzyć, to rzecz najłatwiejsza—odezwała się — ale przecie ja sama nie mogę do niego zapraszać i musiałabym mieć kogoś do pomocy.

— Tak, z mężczyzn — wtrącił hrabia—o tem pomyślimy. Wskażemy ci adjutanta. Idzie o to, abyś młodzież tę, która tajemnicę swoich podziemnych robót tak dotąd ukrywać umie, pozorem wielkiego liberalizmu doprowadziła do tego, żeby ci się wypowiedała. Coś knują, to wiemy. Schodzą się po różnych kątach, dla czegożby nie mieli tu? Rozumiesz?

Trochę zakłopotana gospodyni zaprotestowała:

— Ależ mój dom!...

— *Allons donc! allons donc!* cóż to twój dom? Przecie go to nie zniestawi, owszem, podniesie. Wszystkie nasze baby politykują. Przy tej sposobności nawet możesz urosnąć, ba i za mąż się wydać.

Loiska miała oczy spuszczone.

— *Cela s'entend*—mówił dalej hrabia—że z te-

go powodu będzie wydatek większy i rozumie się, że na to fundusz damy.

Loiska odpowiadała milczeniem. Przeszłość zapewne zmuszała ją do posłuszeństwa rozkazom ludzi, z którymi ją dawne wiązały stosunki. Milczenie oznaczało zgodę.

Hrabia czekał na dobitniejszą odpowiedź, gdy gospodyni wczorajszy dzień i doznana boleść a chęć zemsty na pamięć przyszły. Podniosła żywo piękne swe oczy i poczęła:

— Dobrze, panie het... panie hrabio, zgoda; ale nawzajem i ja mam prośbę do niego. Być nie może, aby komu z panów nie dokuczył i nie dał się już we znaki ten jakiś waryat, czy także spiskowy, Barani kożuszek, co lata po ulicach, buntując ludzi i plwając na wszystkich. Musicie wiedzieć, kto on jest i niepodobna, abyście nie mieli środków do pochwycenia go i ukarania.

Hrabia słuchał, widocznie usiłując sobie przypomnieć rzecz, która na umyśle jego niewielkie uczyniła wrażenie.

— A! ten żebrak!—zawołał—ale cóż cię on obchodzi?

— Już i mnie także...

Nie dokończyła, hrabia ruszył ramionami.

— Moja śliczna — dodał — powiadasz, że my mamy sposoby dowiedzenia się, ukarania; ale na Boga, zapominasz, że w tej chwili my jesteśmy bezsilni, że tu z każdym dniem mocniej opanowuje wszystko spisek, że nas ścigają, szpiegują i prześladują. Zresztą to dzieciństwo!



— Dla pana może, ale dla kobiety bezbronnej być publicznie prześladowaną...

— Cóż ci zrobił? na co się ośmielił? — zapytał hrabia.

Luiska zamilkła, nie chcąc się przyznać, i usta do krwi prawie przygryzła.

Po krótkim przestanku, hrabia dorzucił:

— Mnie także raz przy wnijsciu do teatru uczcił ten łotr jakimś przydomkiem i szyderską przemową; ale ja o to nie dbam!

Zadumał się trochę.

— Tak, tak — odezwał się, jakby sam do siebie — to być musi ich kreatura, podstawiona umyślnie, jeden z ich konjuratów... Postaramy się to zbadać lepiej.

Epizod ten w rozmowie uważając za wyczerpany, hrabia spojrział na zegarek i żywiej kończył:

— A zatem *c'est dit*. Staraj się u siebie młodzież, którą ci wskażemy, gromadzić. Hrabia W., który u ciebie grywa, będzie jednym z wabików; zresztą twoje wdzięki, którym się żadna siła nie oprze, twoje kolacyjki, twój burgund...

— Panie hrabio, ale o introduktorze potrzeba myśleć — odezwała się gospodyni.

— Ba! ba! — zamyślił się, głową podrzucając, magnat. — Introduktor musi być z ich obozu, aby nie obudzać podejrzania. Pomyśl o tem. Jeden z młodszych posłów... niepodobna, abyś ich nie znała.

Loiska miała już na końcu języka zapytanie we własnym interesie o starostę, lecz, że ten nie

był postem i na nic się nie mógł przydać, zamilkła.

Hrabia wybierał się odchodzić.

U drzwi zamieniono jeszcze słów kilka pociachu. Gość bez ceremonii włożył kapelusz na głowę, posłał gosposi od ust buziaka i, nucąc, wysunął się malemi drzwiczkami. Loiska dzwoniła już na Brysię.

— Na miłość Boga! — wołała z pośpiechem — Jeannot! czy jest Jeannot? czy w gabinecie gotowe wszystko? Ledwie mieć będę czas się ufryzować.

I znikła.

Wieczorem, jak zwykle, zjawił się hrabia W., a za nim ściągać się zaczęli miłośnicy gry, ci nałogowi szulerzy, którzy odsadzeni od stolika, chodzili jak błędni, nie słysząc, co do nich mówiono, nie widząc, co się na świecie działo, czekając, rychło-li bankier, strzepnąwszy talia kart, do życia ich powoła.

Tych ludzi zastygłych, zbydlęconych, obalwionych nałogiem, nawet piękność gospodyni nie mogła z apatyi wyprowadzić.

Hrabia W., chociaż niemal gracz z profesyi, był zarazem człowiekiem światowym i więcej umiejącym panować na sobą. Nie śpieszył się z założeniem banku, wiedząc, że im dłużej czekać każe, tem zapalczywszych poniterów mieć będzie przed sobą.

Z powolnością obrachowaną dał się nareszcie skłonić do stolika, prawie mimowoli. *C'était une douce violence* — wedle wyrażenia jednego z dowcipnisiów.

Zasiadano do gry, gdy w towarzystwie Tytusa zjawił się starosta. Loiska była pewną, iż dnia tego nie chybi. Ostatnia rozmowa z hrabią poddała jej myśl, że młody starosta może jej być do odkrycia owego spisku przydatnym. A że oprócz tego, mimo obojętności, jaką okazała w rozmowie z Tytusem, nie wyrzekła się pewnie nadziei przykucia tak znakomitego jeńca do wozu swojego, dosyć go uprzejmie powitała.

Znaczniejsza część przybyłych otaczała stolik gry. Tytus był także, ilekroć miał pieniądze, niepohamowanym graczem; złożyło się więc, że gospodyni została prawie samnasam na rozmowie ze starostą, który tem był uszczęśliwiony.

Lecz gdy on, po młodemu, usiłował rozmowę na ton romansowy nastroić, okrywająca się powaga, muskająca chłodem Loiska, wcale inny nadawała jej kierunek.

— Sądzę, że pan starosta ma już zapewne liczne znajomości między młodzieżą w Warszawie. Sejm ściągnął do stolicy wielu dystyngowanych posłów z prowincyi. Ja, choć kobieta, żywo się interesuję sejmem i tem, co się tam dzieje. Wielkie, piękne rzeczy gotują się dla kraju.

Starosta, dotąd cały zajęty czem innem, nie wiedział co odpowiedzieć. Ojciec jego należał do dawnej partyi króla i dworu, był przyjacielem prymasa. Stosunki familijne oddalały go od reformatorów.

Zaledwie obilo się o jego uszy, iż coś zamierzano, że chciano powiększyć wojsko, chłopów uwol-



nić, ze starostwami coś zrobić, podatki zwiększyć. Lecz co go to obchodziło?

Loiska z milczenia zakłopotanego wniosła, że trafiła na grunt niezasiany. Mogła więc łatwo skorzystać z tego i uczynić z chłopca posłuszne narzędzie.

— Widzę—rzekła, wdzięcząc się do niego—że pan jesteś jeszcze nieinicyowany. Bardzoby mi był przyjemnie dać mu wskazówki i objaśnić, gdybyś sobie tego życzył, kto tu w sejmnie gra ważniejszą rolę, boć pan nie możesz, raz tu będąc, w politykę patryotyczną się nie wmieszać.

Polityka nie była do smaku młodzieńcowi, lecz dla jej pięknych oczu gotów był i do piekła.

— A, pan! — zawołał wesolo. — Weź mnie w opiekę, proszę! Kieruj mną, będę jej chętnie posłusznym. Muszę się przyznać, że dotąd bardzo mnie to mało interesowało.

— To bardzo źle — przerwała Loiska.—Młody człowiek takiego imienia, jak pan, nie może obojętnie stać z boku i patrzeć, gdy tu wszystko goreje patryotyzmem.

Starosta zaprotestował znów, iż pójdzie za radą swej łaskawej nauczycielki.

Loiska skierowała zrećnie rozmowę na sejm, na głównych jego aktorów, o których wiedziała, że do najczynniejszych reformy popleczników należą, obudziła ciekawość starosty i niemal mu nakazała, aby się starał ich poznać i połączyć z nimi.

Zdawała się to tak brać do serca, iż coraz bardziej rozmiłowujący się starosta, dla przypodobania

się jej, poprzysiągł od jutra wniknąć we wskazane mu sfery.

Gospodyni przytem dała do zrozumienia, iż jej bardzo byłoby przyjemnie zbliżyć się do koryfeuszów ruchu i że rachuje na to, iż starosta, zabrawszy z nimi znajomość, pomoże jej także do zaznajomienia się z nimi.

Czegóżby był młody szaleniec nie przyrzekł i na coby się nie zgodził..

Zręczna intrygantka, z łatwością osiągnąwszy cel, w nagrodę potem dozwoliła mu i patrzeć w te oczy swe, które mówiły co chciała, i zacząć gawędę o sentymencie.

Młodzieniec nie taił się, że choć miał szczęście dopiero po raz drugi ją widzieć, był w niej szalenie rozkochany. W owych czasach nader szybko rozgrywających się spraw miłosnych, nie było w tem nic nadzwyczajnego.

— Ja w te nagle wybuchające płomienie—odezwała się Loiska—nie wierzę. Jak za dawnych czasów, radabym zawsze miłość wypróbować wytrwałością i ofiarami. Najlepszym jej probierzem jest... czas!

— I najstraszniejszą dla niej torturą—westchnął chłopak.

— Miłość—dodała poważnie — jest rzeczą bardzo piękną, ale miłości szkaradną. Ja ich nie cierpię.

— Ja też—odparł—nie rozumiem inaczej miłości, jak bardzo seryo i z zupełną ofiarą siebie; lecz pewien jestem, że wrażenie tak silne, jak to, którego

doznałem, musi zwiastować uczucie, które się żadnych prób nie ulęknie.

— Za to ręczyć nie można—odpowiedziała gospodyni. — Pan jeszcze jesteś tak młody i tak mało znasz serce własne. Serca, zwłaszcza męskie, są tak rozmaite... miękkie... kruche... wodniste!

Zacząła się śmiać z własnego porównania, a starosta jej wtórować. Uszczęśliwionym był, że się mógł zbliżyć do niej i że pół godziny mówił z nią sam na sam, że mu dała rady, wskazała drogę, a nawet, jak mu się zdawało, pozwoliła mieć nadzieję.

Tymczasem Tytus, który miał tego dnia pożyczonych od przyjaciela kilkadziesiąt dukatów, przegrawszy je, odstąpił kwaśny od stolika. Gospodynię odwołano i starosta, jeszcze cały przejęty szczęściem, które go spotkało, zbliżył się do niego.

— Winszuję—rzekł Tytus. — Gdy ja się zgrywałem, pan lepszą sobie część obrawszy, zapoznałeś się z gospodynią.

— A! cudowna! boska kobieta!—zawołał starosta.—Co za urok! te usta! te oczy!

— I tam dalej, ja tę litanię umiem na pamięć—rzekł szydersko Tytus.

— I główka, rozum!—mówił młodzieniec—statystka.

— Ona?

— Spodziewam się! Prawie cały czas mówiła mi o polityce.

Tytus parsknął.

— O polityce? Zkądże jej to?



Stanął wśród salonu i zaciekawiony badać począł.

Starosta mu się wypowiedział dosyć jasno, aby Tytus przeniknął, o co chodziło. Nie rozumiał jednak, dlaczego starostę napędzała w tę stronę, od której wprzód sama się usuwała. Była-li to tylko próba?

Tytus nie miał żadnej barwy; jak hrabia Teofil, służył własnemu interesowi tylko, mając w pogardzie ludzi, którzy się zabawiali w politykę, w intrygi jakieś i t. p.

„Baba ma w tem jakiś interes, bo ona nic bez celu nie robi — rzekł w duchu. — Ale co mi tam do tego! Na starostę będę miał oko, aby go nadto nie eksploatowano.”

Za bardzo dobry znak wziął Tytus, że Loiska, która miała oko na młodego gościa, gdy ten objawił chętkę spróbowania gry, powiedziała mu z wielką powagą:

— Nie graj pan. Nie masz zwyczaju... Możesz się unieść. Zdaje mi się, że temperament jego do gry nie jest stworzony. Więcej do niej zimnej krwi potrzeba.

Starosta zapłonął się, ale opieka ta tak mu była miłą, że posłuchał. Tytus śmiał się.

Zbliżył się doń potem i powinszował pocichu.

— Ale to — rzekł — sukces niesłychany, prawdziwe: *veni, vidi, vici!* Nigdy jeszcze Loiski nie widział tak po macierzyńsku czuwającej nad nieopatrzną młodością.

Starosty miłość własna była polechtaną, a że

wszystkie miłości sąsiadują z sobą, pierwsza powiększyła drugą.

Przy wieczerzy gospodyni była zmuszoną trochę się zająć hrabiną W. i innymi. Starosta tymczasem napawał nią oczy, a goście uśmiechali się, widząc, że zupełnie oszalał.

Przy stole przesiedziano czas dosyć długi i gry już, jak wczoraj, nie odnowiono z powodu spóźnionej godziny, pomimo nalegania tych, co przegrali.

Znalazłszy się samnasam w powozie z Tytusem, starosta rozpoczął od uściskania go.

— Jesteś moim dobroczyńcą! — zawołał. — Nie umiem ci wyrazić mej wdzięczności za to, żeś mnie zapoznał z nią. Jestem zachwycony, przejęty, szczęśliwy! To pierwsza miłość w życiu mojem.

Tytus, widząc go tam rozgorzałym, na wszelki wypadek potrzebował zawarować się na przyszłość.

— Kochany starosto — rzekł z przybraną surowością mentora. — Widzę cię tak jakoś bezmiernie, nagle rozkochanym, że muszę ostrzedz. Jest to niezaprzeczenie jedna z najmiłszych istot w świecie, ale chłodna. Tym chłodem swym może cię doprowadzić daleko. Baw się, ale... ostrożnie. Nie zapominaj, że to zabawka jest tylko, która do niczego nie doprowadzi. Wolałem, żebyś tu wszedł w towarzystwo, niż gdzieindziej, gdyżby cię eksploatowano.

Puścił się tak pan Tytus w nauki moralne, zupełnie próżne, gdyż zatopiony w sobie starosta wspominał przez ten czas słówka czarodziejki, jej wejrzenia, i poddawał analizie pilnej uścisk lekki jej ręki, gdy się żegnała.



Zdawało mu się biednym, że ten romans, pierwszy takiego znaczenia i rozmiarów w życiu, dawał mu patent dojrzałości; czuł się z dziecka urastającym na mężczyznę i ledwie wysypującego się wąsika pokręcił.

---

W czasie niebytności pańskiej w domu stary pan Maciej zwykł był, niewiele mając do czynienia, puszczać się na zwiady po mieście. Miewał rozmaite polecenia do osób, z którymi pan jego był w stosunkach, a potem przysłuchiwał się, przypatrywał, bo i obawę miał o pana swego, niedobrze rozumiejąc rolę, jaką odgrywał i ciekaw też sam był tego, co się wokoło działo.

Była to chwila, gdy podbudzone życie zarówno się czuć i widzieć dawało w salonach, jak na ulicach. We wszystkich warstwach społeczeństwa drgały prądy, zwiastujące jakieś wielkie przekształcenie. Mieszczanie upominali się o prawa swoje; mówiono o reformie ustaw dla Żydów, przekształcać miano wojsko, uwalniano tu i owdzie włościan. Nowy wiatr jakiś ciepły powiewał na stare lodu skorupy.

W ulicach grupowali się ludzie, rozmawiając głośno o posiedzeniach sejmowych, śmiejąc się z występów jednych, przyklaskując drugim. Po długich sesjach, kobiety, które się im z galeryi przysłuchiwały, wracały z rumieńcami na twarzy, rozprawiając, unosząc się, śmiejąc.

W ciemnych izdebkach prostych rzemieślników



gwarzono o czemś, czego dobrze nie rozumiano, czując, że się coś wielkiego gotowało.

Pospolity lud i stare dewotki zapowiadały wojnę.

W stolicy życie wrzało.

Przyczyniało się do tego i to, że wielki napływ ludności z prowincyi handel i rzemiosła wprowadził w ruch niezwykły.

Jakaś nowa era podbudzonego, energicznego życia zdawała się zwiastować. Stosunki się zmieniały. Dawni, zwyczajni i naimilsi goście zamkowi teraz unikali króla. Nowi ludzie zaczynali go otaczać.

Z kazalnicy brzmiały mowy tak śmiałe, jakich nikt nigdy dawniej nie słyszał. Owo hasło, później tak głośne: „król z narodem!“ już z ust do ust obiegało.

Ludzie dawniej w stolicy przemożni, szanowani, rej wodzący, niknęli, lub siedzieli po domach pozamykani. Nowi rośli i zaczynali być w ustach wszystkich.

Pocziwy stary sługa, pan Maciej, był w tem wszystkim jak w rogu. Nie rozumiał, co się działo; wiedział jedno tylko, iż starego, któremu od dzieciństwa służył, którego kochał i nad nim bolał, ludzie jacyś opanowali.

Nie mógł pojąć, do czego się to zdało, co on robił, a przeczuwał w tych pokątnych zabiegach jakieś niebezpieczeństwo. Człek był prosty, pobożny, cichy, po swojemu niegłupi, a ciężarem nad siły przygnębiony.

Pocieszało go to jedno, iż pana swojego znając

od lat młodych, poczciwym, prawym i rozumnym go zawsze widział.

— Juści-ta musi on wiedzieć, co robi — mówił, pocieszając się.— Byle go źli ludzie na jaką biedę nie narazili.

Trafiło się, iż blakający się po mieście pan Maciej spotykał Barani kozuszek, którego nie powinien był znać. Naówczas odwracał się od niego szybko i uchodził.

Dzień staremu słudze upływał bardzo jednostajnie. Zrana szedł zwykle na mszę świętą, powracał do domu na Krochmalną ulicę, zjadał swój obiad, podzemał na ławce i wyruszał znów na miasto.

Sprawiwszy posyłki, bo musiał często gdzieś coś odbierać i po księgarniach kupować nowe świstki, miał zwyczaj starowina zachodzić na piwo do znanej sobie gospody na Marywilu. Tu czasem się coś o uszy obilo... Najrozmaitsi ludzie trafiali się w tem Kafarnaum... Miał pan Maciej i porobione tu znajomości. Zresztą małomówny, bawił się, przysłuchując rozmowom różnobarwnym, do których rzadko bardzo się mieszał.

Dnia tego izba, w której zwykle piwo swe dostawał, nie prosząc nawet o nie, bo mu Magda, sługa szynkarki, sama je przynosiła, zobaczywszy go— była więcej przepelnioną niż codziennie. Było dużo czeladzi dworskiej ze wsi, ale i miejskiej gawiedzi sporo.

Maciej zasiadł w kącie i przypatrywał się, czyniąc postrzeżenia. Na Marywilu, gdzie gęsto zawsze było i żaden dzień się bez jakiejś awantury nie ob-



szedł, najczęściej o złodziejstwach, o przypadkach, o nieczystych sprawach nasłuchać się było można.

Okolo milczącego starca siedziało dwóch ludzi. Szeptali z sobą, lecz niezbyt głośno.

Jeden z nich, gdyby nie strój, podobnyby był do hajduka; chłopisko ogromne, wąsate, z czołem niskim, z nosem burakowym, z twarzą popryszczoną, z oczyma biegającymi żywo na wszystkie strony, zdawał się siedzącemu przy sobie jakąś naukę administrować; kiwał palcem, brał go za kołnierz od opończy i usiłował mu coś wrazić.

Drugi, człek średniego wzrostu, twarzy śniadej, zaszępionej, odziany ubogo, głową kiwał potakująco, z niejakim respektem dla nauczyciela.

— Jest taki przykaz wydany—mówił hajduk—żeby nas jak najwięcej na tego szelmę oko miało. Musić albo co skradł, albo się sprzeniewierzył, albo zbiegł z kąd, albo i zabił kogo może. Już to niedarmo! Ja zawszem sobie mówił, od kiedy go widzę po kościołach i na ulicach, że to nie żaden nasz jest... prosty żebrak. Bo to nie może być. Taki człek, co się ludzi nie boi, to ci pójdzie przecie wypić, spocząć, pogadać... A ta bestya przewija ci się popod kruchtami, na ulicach, temu i owemu do ucha coś wrzaśnie... Tu był, tu go niema. Nikt jego nie zna. Barani kożuszek i tyle! Ja sobie myślałem zawszem, że na niego przyjdzie ta godzina, że go wezmą i wypatroszą... bo tam pod tym kożuchem coś jest. Więc ty, Dydak, słuchaj ino dobrze, bo to nie jest żadna darmocho, za to zapłacą. My jego musimy przydybać tak, żeby wiedzieć gdzie jego barłóg, gdzie on lega, a potem wziąć, to już nie nasza



rzecz. Będzie za to coś, kto spenetruje, z kądem on wychodzi i dokąd wchodzi. Jednemu się za nim nie nabiegać; ale nas kilku, żeby dyabła zjadł, żeby się pod ziemię schował... dojdziemy.

Dydak głową kiwał, twarz miał jakąś niejasną, nic niemówiącą, usta zacięte; ale choć hajduk obchodził się z nim jak z ba i bardzo jakimś, wejrzenie, które czasem rzucał mały na ogromnego, więcej sprytu zdradzało, niż wielomównego nauczyciela instrukcyi.

— Na ten przykład—bąknął nareszcie Dydak:—gdyby my jego gniazdo odkryli, to ileż?

Hajduk się zamyślił.

— Bo to, widzicie—cedził powoli mały—kiedy się człek taki ma z czem kryć, niełatwa rzecz trop znaleźć. Nie jeden dzień, ani dwa... Kto go zresztą wie, jaką on moc ma? To niełatwa sprawa.

Poczęli gwarzyć to ciszej, to głośniej, a Maciej, który wzmiankę o Baranim kożuszką posłyszał, drgnął cały.

Pochylił się niby bez myśli ku rozmawiającym, chcąc, jak się zdawało, do ich narady się wmieszać. Dostyć długo mu się nie wiodło.

W ostatku, gdy znów głośniej coś o Baranim kożuszką odezwał się hajduk, pan Maciej spytał:

— O tym żebraku mówicie? — i udał, że się śmieje.

— A no—odparł Dydak, obracając się z ciekawością.

— To bo człek—mówił Maciej, kręcąc głową. Hajduk słuchał z uwagą.

— Co myślicie?

— Co? On coś zna — szepnął Maciej.— O niego się ocierać niezdrowo. Wiem ja o tem.

Dydak ciekawie się wykręcił cały do mówiącego.

— A ja powiem — odparł hajduk — że czy on zna, czy nie, to tam widłami pisano, ale zbroić coś musiał.

Maciej ruszył ramionami.

— On-że tu nie od wczora. Gdyby co na niego było, miało czas się pokazać.

Wdanie się pana Macieja zamknęło usta rozmawiającym, ale im otworzyło uszy. Hajduk, pomilczawszy, rzekł, zwracając się do niego:

— Musiał coś zbroić, kiedy tam z góry—wskazał palcem na sufit—na niego instygują.

Pan Maciej począł się uśmiechać i głos zniżywszy, mówił do ciekawie przysłuchujących się:

— A jakby nie mieli instygować? albo to on mało im nagada takich rzeczy, jakich oni i z ambony nie posłyszą? Co za dziw! Chybaście nigdy nie byli przy nim, kiedy stanie albo przed kruchtą i żga wychodzących z kościoła, albo i przed zamkiem tych, co na sejm jadą. Czasem się magnaty juszą i pieniążek ze złości. Więc jakżeby takiego człowieka nie mieli prześladować?

Hajduk zamyślił się.

— Coś ja o tem słyszał, ale co mi było po tem? Jednem uchem weszło, drugim wyleciało. A cóż im gada takiego?—spytał.

— A no, gołą prawdę — mówił dalej Maciej.— Jednemu, że chłopów uciska, drugiemu, że sług nie płaci, trzeciemu, że dziewczęta zwodzi

— Zkądże on to wie—zamruczał hajduk.

— Kaduk go zna!—zaśmiał się Maciej.—W tem sztuka, że on wszystko wie.

Dydak i hajduk głowami kiwali, milczący. Maciej, korzystając z wrażenia, ciągnął dalej:

— Tać to człek nasz, przyjaciel biednych. Nie-jeden zły zawstydzi się i ustraszy a powściągnie. Na cóż takiego człeka my im w ręce dawać mamy?

— Jest racya! — rzekł Dydak powoli.— Ja sam slyszalem raz pod Bernardynami, jak wziął na fundusz starego kasztelana, co to u króla razwraz siedzi. Uciekał przed nim, jak zając, a ludzie co się naśmieli!

Hajduk dumal, sparslzy się na rękę. Widać było, że w sumieniu swem walczył, jak począć wypadało. Grosz przyobiecany go kusil.

— Jaki on jest, to jest — zamruczał Dydak — zawsze Judaszem być i sprzedawać człeka niedobra rzecz.

Gdy to mówił, instygator hajduk miał czas zebrać myśli i argumenta.

— Co to gadać! — zawolał. — Co my wiemy? My głupi ludzie. Już kiedy oni tam w górze wiedzą, że szkodliwy i łapać go każą, to oni za to sumieniem odpowiadają. Mnie do tego nic. Nam robić, co każą.

Obrócił się do Dydaka.

Ten nieśmiało głową pokiwał, tak, że wątpić było można, czy pójdzie za radą hajduka, czy posłucha Macieja.

Popił piwem, potrzęsł znów głową i milczał,



jakby czekał, czy się Maciej nie oddali. Ten siedział uparcie.

Udając obojętnego i wesołego, piwa też łyknął, postawił szklanicę na stole, otarł wąsy i powiedział:

— Ja nie wiem, za coby mieli tego czleka prześladować. Przecie nie od wczoraj tu jest. Sam na to patrzyłem, że niemal codzień u Bernardynów mszy świętej słucha, bywało i krzyżem leży, a modli się i stęka... aż strach. Jakizby on mógł kryminał popełnić? Cała rzecz, że im dokucza, jak ona mucha w lecie, co lata i burczy, a spokoju nie daje. Chcą go z miasta wyświecić, aby im nie było komu prawdy mówić.

Hajduk nie sprzeczał się, ale znać było, że obiecana zapłata więcej u niego ważyła, niż wszystkie argumenta pana Macieja.

Nie zważając już na niego, pochylił się do ucha Dydakowi i coś mu długo poszeptał, palcami demonstrując. Koso popatrzył na Macieja i prętko wyszedł.

Dydak, piwa swego nie dopiwszy, pozostał jeszcze.

Maciej też przyzostał trochę, może w nadziei, że tego, co Judaszem być nie chciał, nawróci i przekona.

Nim się zebrał rozpocząć nanowo, z wielkim hałasem, ze śpiewką na ustach, z latarką pod pachą, wpadł do gospody Juliaszek. Okiem dokoła potoczył, szukając sobie miejsca, a że właśnie po hajduku próżne zostało, natychmiast się umieścił i o stół począł bić kuliakiem.

— Magdo! ty, dobrodziejko! Karmicielko! daj co jeść, bo zreć się chce okrutecznie. A nie każ czekać, bo zamrę, ta i biedę będziecie mieli!

Śmiał się do Magdy, dokoła oczkami żywymi wodził i nogami pod stołem bębnił.

Tymczasem Maciej powrócił do przerwane go nawracania i półgłosem mówić począł Dydakowi:

— Samiście rzekli, że Judaszem nie godzi się być. Pewnie... A jeszcze takiego człowieka sprzedać, jak Barani kożuszek, toby znaczyło oko sobie wydłubać.

Juliaszek podchwycił wymówione nazwisko i uszu nastawił. Pochylił się nieznacznie i słuchał... Chłopię, jak ogień sprytne, dorozumiało się wszystko; blada twarz mu zapłonęła.

— A, niedoczekanie ich! — zamruczał — żeby mieli dostać do rąk tego starowinę.

Spojrzał z porozumieniem na Macieja, ale ten nie domyślił się, aby to chłopca obchodzić mogło, i bardzo się zadziwił, gdy Juliaszek począł żywo:

— Ostatnim szelmą trzeba być, ktoby marszałkowskim albo komubądź dopomagał przeciw naszemu starowinie! To święty człek! to mądry człek! to najpocziwszy z ludzi! Oho, my go nie damy!

Maciej się podniósł zdumiony i rozradowany, twarz mu się śmiała.

Juliaszek kułakiem w stół palnął.

— Tak mi panie Boże dopomóż i Święta męko Jego i Matko Boska Częstochowska, patronko najosobliwsza... Baraniemu kożuszkowi włos nie spadnie z głowy! Z karet mu pięści będą wystawiali, ale my za niego pleców nadstawim.

Uderzył się w piersi. Magda przynosiła właśnie miskę z czemś gorącym dla chłopca i tłustą swą a otłuszczoną twarz ocierała ręką, aby się lepiej pokazać Juliaszkowi, którego lubiła, bo wesołym był.

— Całuję rączki jejmości dobrodziejki! — zawołał chłopiec. — Daj Boże odsłużyć družbą na weselu!

Magda śmiała się i groziła mu; Juliaszek jadł, parzył się, ale rozmowy nie rzucał.

— Tak mi Boże dopomóż — powtarzał. — Kożuszka im nie damy! Znajdzie on takich, co go obronią. Jak Bóg Bogiem, ja sam gotówem stróżować i pilnować.

Milczący Dydak dopił swojego piwa i, zwracając się do chłopca, rzekł:

— Ta... guza złapać możesz, a żebyś go obronił, kiedy się na niego w górze naposiedli, nie wierzę. Co my mizeroty przeciwko nim? At, kto mu dobrze życzy, naprzód powinien mu szepnąć, aby sobie precz szedł z miasta.

Juliaszek nie miał już czasu mówić, bo jedzenie stygło; ale niewiele ważył słowa Dydaka, który, ruszywszy się z ławy, szlapiąc nogami, wyszedł.

Maciej został chwilę, patrząc na chłopca, który już o czem innem myślał i jedzeniem był zajęty.

I on wreszcie, za piwo zapłaciwszy, głową przyjaźnie pozdrawiając Juliaszka, opuścił szynk.

Gdy się to działo w gospodzie, a stary sługa pośpieszał do domu, Panu Bogu dziękując za to, że podsłuchał znowę i w czas będzie mógł ostrzedz swojego pana, Barani kożuszek narażał się właśnie na największe niebezpieczeństwo.

Zrana z domu wyszedłszy wprost do kościoła,



z niego po nabożeństwie podreptał na Krakowskie. Tu w jednej z kamienic, należących do ojca, miał apartament przez niego wyznaczony pan starosta.

Pałac, należący do rodziny, zajmowała ciotka, a oszczędny rodzic, syna wyprawiając do Warszawy, nie chciał mu dać ani wielkiego dworu, ani zbyt obszernego pomieszczenia, aby wydatków nie pomnażać. Piętro pierwsze, z kilku pokoi i dwóch dosyć obszernych salonów, starczyło dla młodzieńca. Miał z sobą kamerdynera, dwóch dworzan, kilkoro czeladzi, powóz, konie, kucharza, kuchnię, lecz wszystko to skromne i niepokazne.

Ten, który się kamerdynerem zwał, człowiek już bardzo niemłody, w domu tym od dzieciństwa służący, więcej był dla dozoru dodany, niż dla usługi młodemu staroście.

Panicz się go obawiał i szanował, wiedząc, że ma zupełne ojca zaufanie. Niewiadomego pochodzenia, nieprzyznający się, jak inni, do szlachectwa, stary Czeremecha, prawdopodobnie Rusin, w młodości z ojcem starosty odbywał podróże za granicę, języków się kilku nauczył, świata widział wiele i miał tę wadę, jak o nim wyrażał się wojewoda, że lubił książki czytać.

Nie przeszkadzało mu to jednak z powagą wielką spełniać obowiązków marszałka dworu, a jeśli go kto kamerdynerem nazwał, miał tyle rozumu, że się i o to nie gniewał. Naturę miał spokojną, zrezygnowaną, trochę chłodną.

Młodego panicza swojego kochał bardzo; nie dokuczał mu zbyt, z jego płochostek śmiał się, utrzymując, że młodemu piwu trzeba się było dać

wyburzyć i że kto nigdy własnej woli nie miał, ten się używać jej nigdy nie nauczy.

Patrzył jednak pilno na wszystko. Pana Tytusa, który się starosty uczeplił, nie lubił, lecz do czasu go tolerował.

Starosta jeszcze spał dnia tego, a Czeremecha był w swojej stancyi na tyłach, gdzie właśnie, korzystając z czasu, zabierał się do czytania „*Polaka w czui*,” gdy do drzwi jego zapukano i wnet na próg wcisnęła się figura, na której widok Czeremecha wstał, sięgając zwawo do kieszeni, ale zarazem mrużąc:

— Czego wy się tu włóczycie?

W progu stał siwy, przygarbiony, z kijem w ręku, skulony jakby zmarł, żebrak w baranim kożuszku i patrzył pilno, uparcie w oczy staremu kamerdynerowi, który wyciągnął rękę z trzygroszniakiem i trzymał ją, nie mogąc się doczekać, by żebrak przyjął jałmużnę. Zaінtrygowany tem, począł mu się pilniej przyglądać. Na ustach Baraniego kożuszka zjawiał się uśmiech bolesny.

Stali tak naprzeciw siebie, gdy żebrak nagle przybliżył się do Czeremechy, ręką usta przysłonił i do ucha mu coś szepnął.

Ten go za rękę pochwycił.

— Nie może być! na rany Chrystusowe! Wy?

— Ja!

Nastąpiło milczenie. Marszałek się przeżegnał powoli, nie spuszczać oka z żebraka.

— Cóż to jest?—szepnął.

Barani kożuszek obejrzał się dokoła.

— Nikt nas nie podsłucha?



— Mówcie śmiało; sąsiadów nie mam, a w korytarzu gdyby kto się zbliżał, posłyszemy.

— Czy mnie Pan Bóg natchnął, czy dyabeł opętał—począł stary żebrak—nie wiem. Widzisz, na co zszedłem. Zamiast z modlitwą, chodzę z kazaniami, ludzi nawracając i chłoszcząc. Nie mam złości i gniewu do nikogo, choć żalu dużo. Bóg widzi, dobrego pragnę! Nie może być, ażebyście o mnie w Warszawie nie słyszeli.

— Skarżą się wszyscy na Barani kożuszek, odgraża wielu — rzekł Czeremecha. — Ale... pocóżeście mnie uczynili swym konfidentem?

— Boście wy mi potrzebni — odparł stary — i wiem, że mnie nie wydacie.

— Na cóż się wam zdać mogę? — spytał marszałek.

— Zaklinam was, złoty mój Czeremecho, coś mnie dawniej znał i wiesz, zem złym i przewrotnym nie był... zaklinam was, łaskę mi jedną uczynicie!

Ręce znów złożył i kłaniał mu się a patrzył błagająco.

— Ale mówcież, o co idzie?—odparł skłopotany Czeremecha.

— Dopuszczcie mi pół godziny rozmowy sam na sam ze starostą.

Marszałek mocno się zdumiał.

— Tak! i to dziś, nie zwłócząc—mówił Barani kożuszek. — Dajcie mi się niby wkraść... niech mnie potem choćby czeladź wykuksa, ale mówić z nim muszę, muszę!

— Ale cóż wam do niego? — zawołał Czeremecha.



— Co? co? — począł, rozgrzewając się, Kożuszek.—Trzaba go ostrzedz... inaczej z rąk ci go wyrwą i zmarnuje się chłopiec. Czyhają na niego. Wprowadzi go przyjaciel do takiego (tu się poprawił), do takich domów, gdzie nietylko grosz, ale mu to, co przeciwko z domu wywiózł, wydrą.... upoją.... obłąkają! Zlituj się! w tym chłopcu dziś jeszcze jest sumienie i godność; jutro słowo może już nie po skutkować. Daj ty mi z nim dziś mówić.

Czeremecha tak jakoś nie mógł pojąć zbyt gorliwego zajęcia się losem swego panicza w człowieku obcym, tak go ta natarczywość zdumiewała, iż się niemal przeraził.

— Na rany Pańskie, zlituj się! Cóż wam... jaki w tem macie interes?

Kożuszkowi oczy zaświeciły.

— Taki jak ten, co u brzegu stojąc, patrzy na człowieka, który się idzie kąpać tam, gdzie niezawodnie utonie! Mówię wam, klnę się, chcę go ratować!

— On was słuchać nie zechce — rozśmiał się Czeremecha. — Krzyknie na czeladź i wyrzucą za drzwi. Mówcie mi, o co idzie.

— Nie! zawołał z wielką energią Kożuszek.— Za drzwi mnie nie wyrzucą! Pan Bóg daje słowu, które z czystego źródła płynie, siłę i potęgę niezwykłą! Wy nie możecie tak do niego przemówić, jak ja... powagą i szyderstwem. Cóż się może stać, jeżeli na chwilę tylko mnie dopuścicie?

Czeremecha jeszcze ruszał ramionami i nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Zmiłujcie się! ja prawdziwie nie pojmuje...

Żebrek nalegał.

— Czegóż się możecie obawiać? Nie stanie mu się nic, ani wam. W najgorszym razie służba dostanie naganę, że żebraka puściła do pana.

— Ale ona was nie puści — zawołał Czeremecha. — Oni od drzwi nie odchodzą i gotowi zrzucić cię ze schodów.

— Właśnie ja o to was proszę, abyście ich zostawili, a mnie pozwolili...

— Zmiłuj się — przerwał marszałek. — Jesteś jakiś rozgorączkowany. Zachciało ci się rzeczy po prostu śmiesznej... to, czego chcesz, nie może się stać!

— Wolisz więc, aby ginął? — odparł gorąco żebrak.

Mówił to, gdy szelest i chód żywy dał się słyszeć w korytarzyku, drzwi otworzyły się nagle i starosta w szlafroku, napół ubrany, zjawił się w nich. Zobaczywszy o krok przed sobą tego żebraka, który mu przypominał żywo maskę widzianą na reducie, stanął zdziwiony i niemal przestraszony.

Czeremecha śpiesznie podszedł ku niemu i do ucha mu coś szeptać począł.

Panicz oczyma przelektłemi spoglądał na żebraka i na swego sługę, jakby pytał, co ten człowiek miał tu znaczyć, gdy Czeremecha po namyśle krótkim dał Kożuszkowi znak ręką i wyszedł.

W ciągu małego tego przestanku Kożuszek zbladł, zadrżał, przeżegnał się nieznacznie i można było sądzić, że modli się pocichu, wzywając Ducha Świętego.

Staroście, który się w niego wpatrywał, zdawało się, iż ma do czynienia z nawpół obłąkanym.

Wtem Kożuszek odezwał się głosem drżącym:

— Panu Bogu wszechmogącemu dziękuję, że dozwolił mnie, grzesznikowi niegodnemu tej łaski, spełnić czego dawno pragnąłem i zbliżyć się do was, panie starosto! Tak! pragnąłem na początku tej drogi życia, w której bramie stoicie, powitać was, jak się u starych Rzymian witało przychodnia ostrzeżeniem: *Cave canem!* Szczęśliwy jestem, że mogę ci powiedzieć: psów się strzeż i gorszych od nich ludzi!

Dziwny ten początek tak jakoś brzmiał niezrozumiale w uszach starosty, iż nie umiał nań odpowiedzieć. Człowiek ten zawsze mu jeszcze obłąkanym się zdawał.

Głos żebraka zwolna łagodnieć zaczął i drżącym być przestał.

— Spytacie mnie pewnie, jakim prawem ja, nędzny żebrak, twoim mentorem się kreuję? A, panie! bo mi cię żal... bo ty, kwiatku świeży, rozwinięty na pniu starego rodu wielkiej zasługi, idziesz nieopatrzny i nie wiesz, że w tej życia dobie jeden krok fałszywie postawiony może poprowadzić na bezdroże, z którego nie wyjdiesz cało.

Starosta tą admonicją uczuł się trochę obrażonym; widać to było z nagłego rumieńca, który mu na twarz wystąpił, i z wyrazu oczów jego.

— Młodym jesteś, krew masz gorącą — ciągnął dalej Kożuszek.—Ludzie na twą niewinność, nieświadomość, ich złości na twe żądze czyhają, jak na pastwę... Zgubią cię!



Chciał przemówić coś młodzieniec, gdy żebrak, ręce załamując, uklęknął przed nim.

— Daj mi mówić — zawołał — przysięgam, że chcę tylko dobra twojego, ratować cię póki czas! Oto już cię zaciągnęli do domu tej kobiety, która ludźmi jako zabawkami rzuca, robi z nich co chce, oślepia, krępuje, popycha... Rozumna jest, zła a przewrotna. To kameleon, to żmija, czarownica... a Pan Bóg, czy szatan dał umiejętność taką, że ostrzeżonych i ostrożnych pokonywa, a cóż dopiero takiego, jak ty, który w kłamstwo to wcielone uwierzysz. Na Boga żywego, nie chodź tam! Ona zgubioną jest i z sobą do zguby powlecze, kto się do niej zbliży. Uciekaj od tej kobiety! Bóg ją stworzył tak, jak te anioły, co upadły, piękną, rozumną istotą wybraną. Ona wołała w szatana się przedzierzgnąć i iść w piekło, w kał!

Mówiąc, stary patrzył w oczy staroście, który rumienił się i mieszał coraz bardziej.

Żebrak na chwilę zamilkł ze wzruszenia.

— Ta niegodziwa niewiasta jest sługą tych, co nasz nieszczęśliwy kraj wiodą do zguby; ona jest narzędziem w ich rękę. Jeżeli nie chciwość, to ambicya ją prowadzi.

— Ale któż wy jesteście, co to wszystko wiecie i chcecie mi dawać nauki?—wtrącił nareszcie z dumą pewną starosta.

Żebrak z pokorą potrząsnął połą swojego kożuszka, uśmiechając się gorzko.

— Jestem nędzny grzesznik, robak, człowiek, co wycierpiał wiele — rzekł cicho—co już na świecie

nie ma nic, oprócz głosu, jaki Bóg mu włożył w usta, głosu wołającego na puszczy.

Panicz wpatrywał się w niego ciekawie. Kozuszek to w zapał wpadał, to hamował się i ostygwał. Ręką tarł czoło.

— Starosto! — rzekł — wysłano was do stolicy w godzinie, gdy około winnicy praca wielka, robotnika dużo, ale i roboty wiele! Twoi starsi i rówieśnicy krzątają się, aby stary gmach rzeczypospolitej na lepszych podwalinach ustawić. Idź-że do nich, trzymaj z nimi, pracuj dla przyszłości... tam miejsce jest was godne. Cnotliwych szukajcie, a przyjmą was. Poznacie ich po tem, że tam, gdzie was zaprowadzono, żadnego z nich niema. Jutro, gdy was uwikłają i zapłaczą ci, co do was przyłgnęli, nie czas już będzie. Chwili dziś poczciwi do stracenia nie mają.  
*Jam proximus ardet Ucalegon.*

Łacińska ta cytata, która się mimowoli wyrwała żebrakowi, mocniej może uderzyła starostę, niż cała mowa. Była ona dowodem, że nie prostego żebraka miał przed sobą. Młodzieńcza ciekawość podbudzoną była do najwyższego stopnia. Innemi oczyma spoglądał teraz na tę dziwną, narzucającą mu się, niezrozumiałą postać.

— Nie sędzę — rzekł po namyśle — abym w ciągu krótkiego mojego pobytu w tej stolicy postawił już jaki krok fałszywy. Wiek mój nie dozwala mi mieszać się w sprawy polityczne, a stosunki, które związałem, w niczem mnie nie krępują.

— I właśnie dlatego, że czas jeszcze zawrócić się, pragnąłem was widzieć, panie starosto — odezwał się żebrak. — Dom tej kobiety, do której cię wprowa-



dzono, jest jaskinią rozbójników, szulernią, placem gdzie się knują i wiążą intrygi bezecne, gdzie się sprzedają i kupują sumienia, dobywają upojeniem tajemnice i gdzie frymarczą niemi. Ja tę kobietę... tę kobietę — tu starcowi głos się zmienił i zalcawił — znam, na nieszczęście, od dzieciństwa, gdy jeszcze aniołkiem była, a własna matka popchnęła ją na zgubę i srom. Teraz już duszy jej nie wybielić, charakteru nie odmienić, chyba...

Zamilkł chwilę i zamruczał:

— Chybaby ją wszyscy opuścili, a nieszczęście ją dotknęło, ażeby gorzkimi musiała płakać łzami, krwawemi łzami.

Starosta przysłuchiwał się z rosnącą i nietajoną ciekawością.

— Powinienem wam podziękować — odezwał się — że z tak życzliwą radą przyszliście do mnie. Zawdzięczam ją pewnie nie sobie, ale jakimś innym, niezrozumiałym dla mnie pobudkom. Chciejcie mnie objaśnić... słucham. Mówiliście o przyjaciolach. Znać też tych, co się tu moimi być mienią?

Starzec głową kiwnął.

— Tak, co najbrudniejszego tu jest, najlepiej znam — rzekł. — To dziś moje powołanie, abym się w błocie grzebał, ha, i z błota czasem, choć uszy, wyciągał!

— Pana Tytusa znacie?—zapytał nieśmiało starosta.

— Mieszczkańskiego synka, który panicza udaje — odparł Kozuszek.—Któżby takiego trutnia i zlejbuka nie znał? Teraz gdy Dangel, Kabryt, Blanc, Teppery i Szulce podostawali szlachectwa, a cena



tego klejnotu spadła, ma nadzieję, że na szyld ojcowski włoży koronę, a szlachciankę gdzieś z posagiem ukradnie. Ojciec handlował i pracował, a ten bawi się i trwoni. Czepia się możnych, jak pijawka. Zaprowadzi was gdzie zechcecie i sprzeda. Do poczciwych tylko nie zawiedzie, bo ich nie zna, a oni go znać nie chcą.

Ruszył ramionami.

Starosta miał na ustach jakieś drugie pytanie, gdy Kożuszek z pośpiechem dodał:

— Z tej jaskini łotrów uchodźcie! tej kobiety się strzeżcie! Będzie wam grała cnotę surową, bo to, co zowią kobiecą cnotą, ją nie kosztuje nic; ona serca nigdy nie miała. Matka zamłodu je jej wyjęła, jak ptakom skrzydła ucinają, aby nie latały. Dziś ona rachuje tylko i zwodzi, niegodziwa, spodłona!

Zabrakło mu głosu, głowę spuścił na piersi i łzy pociekły mu z oczów, tak, że je rękawem ocierać musiał. Wzruszenie, dla słuchającego niezrozumiałe, owładło nim tak nagle, iż próżno przemódz je usiłując, zakrył oczy, pochylił głowę i chwiejącym się krokiem począł ku drzwiom zmierzać.

Starosta patrzył, przejęty litością jakąś i strachem. I jemu serce biło mocno, w tych wyrazach i łzach, w głosie tym żebraka była siła większa, niż się w nędzarzu odartym spodziewać było można. W wystąpieniu jego kryła się jakaś tajemnica. Sam nie wiedział, co o tem sądzić.

Kożuszek chciał jakby coś mówić jeszcze — silił się i próbował, a strumienie łez ciągle mu mowę tamowały. Przemódz ich nie mogąc, zrozpaczony rzucił się ku drzwiom, otworzył je nagle i... zniknął.

Czeremecha, który tuż stał za progiem, wszedł natychmiast, zwracając oczy ciekawe na starostę, jakby się uląkł o niego.

Młodzieniec nie ruszał się z miejsca, jeszcze w myśli rozbierając to, co słyszał, nie umiając sobie wytłómaczyć tej przygody rannej, która niespodziewanie uderzyła go, razila i przebrzmiała jak sen.

— Co to jest? kto to był?— spytał w końcu stojącego zdala Czeremechy.

Stary miał coś na ustach, ale pomyślawszy, wstrzymał się nagle.

— Toć to jest ten Barani kozuszek!— rzekł.

— Znasz go?

— Jak wszyscy, z widzenia... tak— przebaknął, mieszając się trochę stary.— Ludzie się różnie domyślają... człek bo osobliwy.

— W samej istocie — przerwał starosta. — Czy waćpan wiesz? wystąpił mi z łaciną.

Czeremecha ramionami tylko zżymnął.

Zamyślony panicz, zapomniawszy z czem przyszedł do swojego starego sługi, zwrócił się ku drzwiom. Marszałek odprowadził go, ale nie zatrzymywał.

W pokoju sypialnym, do którego powrócił, zastał zawsze już o tej porze zjawiającego się pana Tytusa, który, jak w domu czując się u niego, kazał sobie podać czekoladę i spokojnie się nią posilał.

Po twarzy zmienionej starosty i z dosyć chłodnego przywitania Tytus się mógł domyślać, że świeże jakieś, nieprzyjemne wrażenie spotkało przyjaciela.

— Kochany starosta — odezwał się — coś dziś znudzony, czy chory.

— Wstałem z bólem głowy — odparł panicz, siadając i wcale się nie myśląc tłumaczyć przed Tytusem.

To, co o nim posłyszał z ust żebraka, nie pozostało bez następstw. Patrzył nań z pewną obawą i niedowierzaniem.

Tytus tą tajemniczością przyjaciela, który zwykle bywał dlań aż do zbytku otwartym—tym tonem, dla siebie nowym, został zaniepokojony.

Zwrócił rozmowę, więcej rachując na wygadanie się nieumyślnie młodego pana, niż na wydobywanie z niego czegoś pytaniami.

— Prawda — rzekł — że Loiska wczoraj była prawdziwie uroczą? Nie znam kobiety, któraby tak zawsze piękną, a tak rozmaitą być umiała.

Starosta ze spuszczonei oczyma bawił się połą szlafroka; zimny był, nie potwierdzał i nie przeczył. Pierwszy raz nie zachwycał się Loiską.

— Co to jest? — pomyślał Tytus — miałżeby wczoraj...

I spytał głośno:

— Mniej się wam podobała?

— Nie—rzekł starosta zimno—zawsze jest zachwycającą; ale wyznaję, że się jej obawiać zaczynam.

Tytus wybuchnął śmiechem serdecznym.

— Obawa przyszła bardzo wczesnie—odparł— i to jest gwarancją, iż starosta z tym ogniem będziesz się obchodził ostrożnie.

Gospodarz, sparty na stoliku, milczał.

Tytus, przebiegły i doświadczony, czuł już, że



pomiędzy wczorajszym a dzisiejszym dniem coś zaszło, czego sobie wytłómaczyć nie umiał. W nocy starostę odprowadził do domu, dziś pierwszy przyszedł do niego, Nie mógł się widzieć z nikim, nikt nań nie mógł wpłynąć, ani ostrzedz i zniechęcić.

„Musiał chyba z domu od ojca odebrać jakieś złe listy“ — pomyślał Tytus i od niechcenia go zagadnął:

— Pan starosta nie miał wiadomości od wojewody?

— Ani wczoraj, ani dziś nie było listów. Spodziewam się kresów wieczorem.

Chyba mu brak pieniędzy—rzekł sobie w duchu Tytus, który rad był co najrychlej przyjaciela udobruchać i poufały powrócić stosunek.

— Nie masz, kochany starosto, interesu jakiego do miasta, w którym mógłbym mu być pomocnym, lub pośredniczyć? Dziś we własnej sprawie muszę być u Teppera i u Blanka.

Starosta podziękował sucho.

— Nie, nie mam nic.

— Jakież projekta na dzień dzisiejszy?—ciągnął dalej Tytus.

— Nie myślałem o tem jeszcze — odezwał się, poziewając, starosta.—Ale prawda! Mam kilka wizyt koniecznych, które ojciec mi polecił oddać, a dotąd je zaniedbałem.

— No, to w dzień, a wieczorem co robimy? — spytał Tytus.

— Nie wiem, teatr być musi — rzekł starosta obojętnie.

— Z teatru naturalnie na wieczerzę do Loiski— z uśmiechem wtrącił kusiciel.

— Dzień po dniu? — pytająco odezwał się panicz.—Zdaje mi się, że tak jej narzucać się nie wypada: Ludzie mogliby sądzić, a co gorzej i ona sama...

— Co? że ona się starościę podobała?—zaśmiał się Tytus. — Ale o tem, zdaje mi się, i ona i ludzie już wiedzą.

Panicz siedział zadumany kwaśno.

Tytus, rozdrażniony zmianą, jaką w nim spotkał, lubo niespodzianie, nie myślał dać za wygraną. Znał już o tyle starostę, iż mógł być pewnym, że bez przyczyny, dla fantazyi, humoru nie zmienił. Coś w tem tkwiło.

— Zatem dzisiejszy dzień wizytom poświęcony?—powtórzył.

Na to pytanie starosta był zmuszonym coś odpowiedzieć.

— Tak, muszę raz wreszcie być u panów Ignacego i Stanisława Potockich. Są nam powinowaci i wiedzą, że tu jestem — przebaknął pocichu.

— Pierwszego z nich—odparł jakimś tonem trochę szyderskim Tytus — wątpię, abyś pan starosta znalazł kiedy w domu. Niezmiernie od niejakiemu czasu jest czynny. Musi pilnować króla, którego tak trudno było do sieci zastawionych napędzić. A choć by zresztą jakim przypadkiem był w domu, to albo z księdzem biskupem kamienieckim, lub z ks. Piatolim, z ks. Ossowskim, jeśli nie z podkanclerzym kon-

ferencya. Wiadomo, że cała ta klika, posługując się ślepym Małachowskim, któremu jej kadzidło oczy zamgliło, i ks. Kaźmierzem, który bawi się doskonale marszałkując — buduje jakieś monstrum, mając niem republikę uszczęśliwić. Cha! cha! doskonali! Dziedziectwo tronu, tam gdzie król nieżonaty i żenić mu się przyba zapóźno. Generałowa zresztą nie pozwoliłaby na to.

Nie zważając, co się wyrwało Tytusowi, starosta obojętnie wtrącił:

— A! przypomniałeś mi, że u ks. biskupa Krasieńskiego być muszę.

— Ach! dziś więc kolej na koryfeuszów spisku — rzekł Tytus z przekąsem — spisku, od którego ja, z obowiązków sumienia, radbym pana starostę trzymać zdaleka. Ostrzegam! raz w ich ręce wpadłszy...

Tytus zaczął robić miny, wyrażające wstręt i obawę. Gospodarz oczy nań podniósł zimno i coraz mniej okazując tej poufałości, do której tak był nawykłym świeży przyjaciel, uśmiechnął się tylko niezrozumiale.

Panu Tytusowi tak się nie wiodło, iż najdziwniejsze posadzenia w głowie mu się rodzić zaczynały.

Nie mógł się tak z nim rozstać. Wspomnienie o Potockich i o biskupie Krasieńskim szczególnie dawało mu do myślenia. Dać mu wpaść w ich ręce, było to go postradać. Tytus wiedział, iż tam miru nie miał i że starosta będzie ostrzeżonym.

Przybrał minę poważną.

— Pan starosta mi pozwoli — rzekł — ponieważ



o biskupie kamienieckim i o panach Ignacym i Stanisławie Potockich była mowa, abym z obowiązku, jaki na mnie wkłada szacunek, który dla niego powziąłem, dodał jeszcze słów kilka. Niech pan będzie ostrożnym z nimi. Nie omieszkają oni tak go werbować do swej kliky, jak wciągają i innych. Elementa najróżnorodniejsze, więcej na ilość niż na jakość zważając... ale cała ta podziemna ich robota źle bardzo się skończyć musi. Ludzie prawdziwie kraj miłujący, rozumni, wytrawni, jak ks. prymas, Rzewuski, Szczęsny Potocki, hetman Branicki, są jawnie temu przeciwni. W Wiedniu i na północy pilno mają oczy zwrócone na spisek i dosyć będzie hasła, aby się to wszystko wniwecz obróciło. Nie życzę się kumać z nimi.

— Ale ja w żadną politykę wdawać się nie myślę—rzekł ze śmiechem dumnym i suchym—bądź pan spokojny; a stosunki towarzyskie rodziny utrzymaó muszę.

— Jak najskrupulatniej ograniczając się niemi—dodał Tytus. — Jestem pewny, że tam pana starostę z otwartemi przyjmą rękami, aby przez niego i ojca sobie może pozyskać; u nich niema karesu bez interesu.

— A pan sądzisz, że gdzieindziej karesy są bezinteresowne?—odparł starosta.

Tytus się zmieszał nieco i zamilkł, lecz choć się czuł obrażonym, musiał, nie dając poznać tego po sobie, połknąć pigułkę i w śmiech to obrócić.

— U naszej pani Loiski—rzekł—gdyby kares się mogło zyskać, *ma foi*, niejednenby... przebaczył nawet, gdyby był nieco interesowny.

— Ale toby mu całą jego wartość odjęło — zimno rzekł, wstając, starosta.

Wstał i Tytus, zły, podrażniony, lecz poprzysiegając, że to, co mu zamąciło jego wygodny stosunek ze starostą, odkryć musi i sparaliżować.

— Zatem — odezwał się — przed teatrem mam służyć? czy kiedy pan starosta każe?

— Przed teatrem — odparł, chłodno żegnając gospodarz.

Tegoż dnia, w poobiedniej godzinie, hrabia W. po krótkiej syeście, do której był nawykł za granicą, właśnie ze schodów powoli się spuszczał, mając wsiąść do powozu, który nań czekał, gdy w przyćmionej sieni domu przy Miodowej ulicy, w którym mieszkał, z kąta występujący człek odarty, wyglądający na żebraka, zastąpił mu drogę.

Hrabia był bardzo szczodrym. Wygrywał tysiącami, ale też dukatami rzucał, nie licząc.

Sięgnął do kamizelki, w której zawsze nosił kulfony oberzniete i srebro, aby się pozbyć natręta, gdy usłyszał śmiech znany i zadrzał.

Głos ten już nie pierwszy raz słyszał w życiu.

Żebak przybliżył się do niego, tak, że hrabia ze wstrętem się cofnął.

— Czego chcesz? — zawołał grubiańsko — precz mi!

I na ziemię upadający słychać było pieniądz, który zadźwięczał i potoczył się. Nikt go nie podniósł.

— Chcę z szanownym hrabią mieć chwileczkę

rozmowy—odezwał się głos jakiś szyderski.—Słóweczko tylko; nie zatrzymam długo i na banczek dużo czasu zostanie. Mam prośbę i radę: prośbę bardzo pilną, radę bardzo zdrową. Hrabiemu się tak całe życie wiodło szczęśliwie, że oto z ubogiego litewskiego szlachetki zostałeś magnatem, grywałeś z królami i poogrywałeś królów. Masz pełne szkatuły dyamentów. Pora umizgów i bałamuctw dla pana przeszła. Waćpan kobietom na nic się nie zdałeś i one panu już obojętne byćby powinny. Gra u kobiet dla początkujących szulerów, no to jeszcze; ale dla takiego wytrawnego...

— Co to ma znaczyć? pójdziesz ty precz?—zawołał rozgniewany hrabia.

— Pójdę precz, ale słówko jeszcze, dokończyć muszę—rzekł żebrak—we własnym pańskim interesie. Pan masz już kości stare, a jeśli nie przestaniesz grywać u Loiski i do niej swoich sprowadzać... tak mi Boże dopomóż, kości te ci połamię... Ja, czy kto inny... nie ujdiesz cało!

Hrabia chciał krzyknąć na swą służbę, lecz z gniewem głos mu w gardle uwiązł.

— Słówko tylko, panie hrabio, słówko — dokończył żebrak. — Rada moja pochodzi ze szczerzej troskliwości o drogie zdroweczko jego. Poco się narażać na leżenie w łóżku, smarowania i stratę czasu! Niech pan zerwie z tą kobietą, proszę bardzo, i żeby noga jego nie powstała w jej domu.

— Juraś, Juraś!—począł wołać hrabia.

Żebrak przyskoczył do niego.

— Nim Juraś nadejdzie, raz jeszcze, panie hrabio, od tego domu wara!



— Cóż to ma znaczyć? — krzyknął w pasyi hrabia, szamocząc się i usiłując wyrwać zastępującemu drogę żebrakowi.

— To znaczy, że ja, słyszysz?... ja, Barani kożuszek, rozkazuję ci, abys mi się nie ważył tam chodzić! Tlómacz to sobie jak chcesz... nie posłuchasz.., zobaczysz skutki.

Hrabia powtórnie krzyknął na służbę, lecz nim ta usłyszeć go mogła i zdołała nadbiec, żebrak się wyrwał z sieni w ulicę i zniknął.

Czas jakiś pan hrabia stał, trzęsąc się z gniewu cały i ochota go odpadła sięść do powozu. Zawrócił się na górę. Był tak poruszony, że musiał sięść w fotelu, aby wydychać gniew i kazał sobie podać szklanekę limonady.

Służbie, zapóźno nadbiegającej, nie powiedział o co chodziło, bo wstyd mu się do tego przyznać było. Awantury tej nie pojmował. Wprawdzie kilka razy go w ulicy już Barani ów kożuszek w sposób bardzo przykry interpelował, ale ta napaść była dlań niezrozumiałą.

Uledz groźbie, czy nie zważać na nią?... Sam nie wiedział, jak postąpić. Radby iść na przebój, bo w salonie Loiski gra była wygodną, swobodną, a on panem. Lecz z drugiej strony dobijać się o nią, narażając na niebezpieczeństwo życie, nie było warto. Hrabia miał do wyboru grę u siebie i w wielu domach dystyngowanych, gdzie go przyjmowano z największą grzecznością, zapraszano, pojono i karmiono.

Siedział jakiś czas w krześle, dopił limonady, uspokoił się i rezultatem krótkiego namysłu było, że biłecikiem suchym, zimnym, nie bardzo zrozumiałym

przeprosił panią pseudo-kasztelanową, iż służyć jej nie może. Nie obiecywał się nawet na dzień inny.

Tajemnicza ta jakaś groźba uczyniła na nim głębokie wrażenie. Grubiaństwem się brzydził; lubił dobre towarzystwo, a dom Loiski nie był jedyny.

Żebrak, mieszający się do spraw tej kobiety, której położenie i tak było dwuznacznem bardzo, ostatecznie go zniechęcił.

Barani kożuszek, wymknąwszy się z kamienicy, w której czas jakiś czatował na hrabiego, pobiegł Miodową, nie oglądając się, i w pierwszą uliczkę ciśniejszą, jaka mu się nadarzyła, rzucił się, nie chcąc być postrzeżonym.

Nie zważał na to, iż o kilka kroków od domu stało dwóch ludzi, którzy szli za nim już oddawna, ale zdaleka i ostrożnie. Zobaczywszy go wymykającego się, pośpieszyli wnet za nim, szepcząc i trzymając się w takim oddaleniu, aby go z oczów nie stracili. Nim za żebrakiem skręcili w uliczkę, dwóch innych, poszeptawszy coś, przyłączyło się do nich.

Wszyscy razem pogonili.

Żebrak jednak czy się gdzie do domu jakiego skrył, czy ich zmylił w inny sposób, w uliczce się już im nie pokazał. Napróżno klusem pędzili, do bram zaglądając tu i owdzie... zginął im, jakby poszedł wskroś ziemi.

Zadyszani, hajduk i ci, których on prowadził, zatrzymali się nareszcie, pot ocierając z czoła.

— Licho go wie, gdzieś w kamienicy przysiadł— rzekł ten, który dowodził.

Drudzy głowami trzęśli z pewnem powątpiewaniem.

— Nie, ale bo ja mówilem zaraz—odezwał się jeden—najlepiej było we drzwiach schwycić, zakneblować gębę i poprowadzić.

— Gdzie? na Miodowej? — odparł hajduk.— Żebyś ty mu nie wiem jak gębę prędko zatykał, krzykuby był narobił... Zbiegowisko, awantura! A on swoich ma i byliby go obronili a odbili. Tak i potemby już się miał na baczości. Z nim tak nie można, tylko kiedy brać, to na pewniaka. Jak się raz nie uda, przepadło.

Towarzysze zdawali się być tegoż przekonania i zamilkli.

Stali jeszcze skonfundowani, gdy z blizkiej kamienicy, poświstując, z rękami w kieszeniach, wyszedł krokiem powolnym Juliaszek. Miał krótką fajeczkę w gębie, czuprynę na bakier, a obie ręce w kieszeniach i minę gęstą. To dym puszczał z gęby, to świstał. Stał i począł się przypatrywać towarzystwu, które, na widok przybysza tego, milcząc zaczęło sobie dawać do rozejścia się znaki.

— Sluchaj, Szczepka—odezwał się nagle Juliaszek do jednego z nich—mnie się widzi, coś musieliście tu zgubić, co tak nos spuszczaście w dół. He? jabym wam pomógł szukać. Dwuzłotówkę, czy talara?

Hajduk spojrział nań pogardliwie.

— Patrzaj-no go, jaki mi! A co ty tu nosa wścibiasz? Patrz, by ci go, smarkaczu jakiś, nie utarli.

— Doprawdy! — rozśmiał się łobuz—a tom nie wiedział, że wy się i do tego zdali? Proszę ja kogo? Że konieście kradli na Pradze i że was trzy-



mali za to w kryminale, tom slyszal... ale o nosach....

Hajduk chcial sie zrazu rzucic na niego, lecz sie pomiarkowal.

— Ej! gębe ci zamaluje, ty psiawiaro!—bąknął.

— A to wy i gęby malujecie?—odparł ze śmiechem Juliaszek, nie ruszając się z miejsca i stojąc rozkraczony. Żebym ja tyle rzeczy umiał, co wy, nacoby mi z latarką chodzić.

— To szelma—zamruczał drugi.

Juliaszek tymczasem dalej drwił:

— To bo nic innego nie będzie, tylko wy pewnie za kotem pędziliście, bom ja go widział, jak umykał. Czuł, że koło niego kuso, wlaź na mur, z muru na dach, i pewnie się tam nogą na ucho skrobie, myśląc, jakie to niezdarne chłopcy, co we czterech jednemu kotowi rady nie dali i to jeszcze staremu.

— Słysz!—szepnął jeden—on coś wie.

— Aże, będziesz ty takie nogi miał, żebyś go dogonił—rzekł hajduk.

Juliaszek świstał.

— Zebyście wy mnie do pomocy wzięli — rzekł — to nietylko kota, alebyście barana byli upolowali.

Stojący tręcili się łokciami.

— Wie łajdak, jak Boga kocham.

Towarzysz hajduka, który miał tabakierkę w ręku i ciągle nią obracał, zaczął się zwolna zbliżać do Juliaszka, inni zostali opodal.

Poczęstował chłopca naprzód tabaką; ten nie

odmówił, zażył, kichnął i sam sobie powiedział: na zdrowieczko.

— Słuchaj, Juliaszek. ty wiesz, za kim my szli?— rzekł cicho.

— A juściż.

— Mogłoby ci się co okroić, he? Gdzie on przepadł?

— E! e! gdzie, teraz już szukaj wiatru po polu; drapnął aż się kurzyło. Ale co wam daremnie po mieście za nim wałęsać się? Niech mi da ten—wskazał na hajduka—dwuzłotówkę, to powiem wam, gdzie go znajdziecie.

Tabakierka poszła na radę do hajduka. Szepтали długo.

— To frant, drwi. Oszuka nas—mówił hajduk.

Juliaszek, któremu fajka zgasła, począł ognia krzesać spokojnie. Po naradzie tabakierka wróciła do niego.

— Powiesz, gdzie go szukać?

— Dwa złote! ani dydka nie ustąpię. Już kiedy fortunę robić szelmostwem, to przynajmniej żeby człek miał chleb na starość.

Po nowej naradzie złożyli się chciwi połowu na dwuzłotówkę drobnymi miedziakami i Juliaszek, skrupulatnie obliczywszy pieniądze, a związawszy je w węzelek u koszuli, przybrał minę bardzo seryo. Mówił pocichu, nachylając się, zasłaniając ręką, i tak jakby największą zwierzał tajemnicę.

— Po mieście się za nim włóczyć darmo. Tu jest, tu go niema, swoich wszędzie znajdzie, którzy go ochronią i skryją. Wprost idźcie do dnia na Pragę, trzeci dom od mostu w prawo, u Szmula Za-

darnogi ma kwaterę. Na noc tam zawsze powraca, a na zaraniu go znajdziecie pewniakiem i macie w garści.

Sluchali pilno, spoglądając na siebie, wierząc i wątpiąc.

Wprawdzie Szmula Zadarnogę znał hajduk, lecz budziło to w nim podejrzenie, iż właśnie on z tym Szmulem miał do czynienia niegdyś w sprawie koni skradzionych, do czego przyznać mu się było niemiło.

Inni uwierzyli informacyi i wzięli ją do serca, umawiając się już o zasadzkę.

Juliaszek, który miał na sznurku uwiązaną rzepe, dobył ją z powagą z za pazuchy, jakby zegarka, popatrzył na nią. i kłaniając się zgromadzeniu, zawołał:

— Czołem panom moim, bo już godzina moja, w której ekwipaż powinien być gotów. Zatem submituję się.

I poszedł.

Pozostali długo jeszcze rozprawiali nad wyprawą na Pragę.

Juliaszek tymczasem pobiegł żywo, ale nie do teatru.

Domyślał się, że w rogu ulicy Krochmalnej o mroku może się spotkać z Baranim kozuszkim, powracającym do domu, i tu pod parkanem obrał sobie stanowisko, ręce obie głęboko za pazuchę wciśnawszy, aby im ciepło było.

Lecz mrok nadszedł i noc się zbliżała, a Baraniego kozuszka nie było. Więc, choć godzina teatralna nadeszła, Juliaszek z miejsca nie ustąpił, ziewał,



drzemał, próbował fajkę palić, nareszcie siadłszy na ziemi, usnął ze znużenia, a gdy się obudził... już gdzieś na zegarze północ biła. Powlókł się do domu.

Barani kożuszek dnia tego wcześniej niż zwykle, ale inną drogą, dostał się do kamienicy i zastał już przestraszonego Macieja, który na progu czatował. Zobaczywszy go, odetchnął lżej.

— Napędziłeś mi jegomość strachu — rzekł. — Toż to po mieście za wami gonia i szukają was. Chcą porwać i zamknąć. Na Boga ukrzyżowanego, choć tydzień trzeba w domu posiedzieć!

Starzec, nic nie odpowiadając, poszedł się rozdziewać i po chwili dopiero, na górę już z pomocą sługi drapiąc się po schodach, rzekł z niechęcią:

— Daj ty mi pokój, czas najgorętszy. Komuby tam w głowie było mnie ściagać? Balamuctwo i po wszystkim.

Opowiadanie szczegółowe Macieja nie zdawało się go ustraszać.

— Co ma być, będzie—rzekł krótko—a swoje robić potrzeba.

Tego wieczora na stoliku, pomiędzy drukami sznurkiem związanymi, znalazł się list i kartka, ja-kiemiś cyframi zapisana, którą Kożuszek raz i drugi odczytał.

Kazał się Maciejowi o brzasku obudzić.

Nazajutrz próżne były zakłęcia i prośby starego sługi, który poprzysięgał, że na swe uszy słyszał, iż się na niego nasadzeni ludzie zjawiali.

— Muszę iść, daremna rzecz—odparł posępnie Kożuszek.—Pan Bóg mnie dotąd łaską swą obraniał, nic mi się i teraz nie stanie.

Za odchodzącym Maciej rozpaczliwie ręce załamał. Popatrzył w ulicę i postrzegł, że stary jednak z większą niż zwykle ostrożnością ku miastu kroczył, stając i naprzód się rozpatrując.

W istocie zrana przynajmniej nie miał się czego obawiać, bo zwiedzeni przez Juliaszka ludzie, który się na pochwycenie go uwzięli, wszyscy wynieśli się czatować nań na Pradze.

Barani kożuszek, jak codzień, najprzód poszedł do kościoła Bernardynów, gdzie przed bocznym ołtarzem Matki Boskiej Bolesnej mszy św. na klęczkach wysłuchał z pobożnością wielką. Mszę odprawiał dobrze mu znajomy ojciec Pankracy, za którym powlókł się do zakrystyi. Tu u progu postawszy, póki się ksiądz nie rozebrał i nie odmówił pacierzy, przywitał się z nim, całując go w rękę, i razem poszli do celi.

Ojciec Pankracy, wesolej i rumianej twarzy, która pochodzenie jego ludowe zdradzała, był lat średnich, zażywny, krzepki i odpowiadał w zupełności temu typowi Bernardyna, jakim zakon ten ulubiony powszechnie u nas sływał.

Gdzieindziej wyśmiewano i spotwarzano zakony, które powstały z reguły św. Franciszka z Assyżu, ale u nas one tak się nadawały do charakteru narodowego, do obyczaju, do humoru, iż przy całej swej rubasznosci i niepozornosci, więcej może dla utrzymania religijnego uczucia i zaszczepienia cnót chrześcijańskich zrobiły, niż inne, ucześnie daleko i wyżej stojące w opinii świata.

Kwestarz, jeżdżący za jałmużną, woził obrazki dla dzieci, ale razem i pokrzepiające słowo Boże dla

starych, otuchę wesołą i miłościwy uśmiech, a nadzieję w opatrności Bożej. Posępnego Bernardyna trudno było spotkać, wymyślnym też żaden nie był. Znaczniejsza ich część pochodziła ze stanu mieszczańskiego i z ludu, wszędzie im dobrze było, a chłód, głód i razowy chleb znosili, nie krzywiąc się i nie skarżąc. W pałacu i w chacie Bernardyn był równie miłym gościem.

Na ambonie mieli więcej swobody słowa, mówili od serca, bo na uczoność nie chorowali. Byli to prostaczkowie, ale serdeczni, a sercem się więcej jedna Boga i ludzi, niż mądrością.

Takim był i ojciec Pankracy, chłopskie niegdyś dziecko na Mazurach, trochę demagog, niewielki przyjaciel możnych, na kazalnicy śmiały obrońca biedaków.

Ta śmiałość jego właśnie pozyskała mu serce Kozuszką, gdy go usłyszał kążącego przeciwko zepsuciu wieku, zbytkom, rozwiązłości, dumie możnych i t. p.

Poprzyjaźnili się z sobą i Ojciec Pankracy, wysłuchawszy starego spowiedzi, poznawszy żywot jego, przywiązał się do biednego dziwaka.

Z nim jednym Kozuszek był zupełnie otwartym, mógł mówić, szukać u niego rady, żądać pociechy. Bernardyn zabierał go często do swej celi i nie dając mu ani się gniewać, ani unosić, starał się, jak mógł, w żart wszystko obracać. Stary o wielu rzeczach dowiadywał się od księdza, a teraz ksiądz znowu czerpał z niego, bo Kozuszek miał stosunki z dosyć czynnymi sejmu członkami.

Wprawdzie punkt widzenia obu wiele się różnił.



12

Ojciec Pankracy, z czysto chrześcijańskiego stanowiska, wszystkie obrotы świata tego za blahe uważał; Kozuszek zapalał się do reform, wierząc w ich skuteczność. Według pierwszego, Pan Bóg tylko mógł złe na dobre zmienić i starczyło modlitwy, aby wybrnąć z toni; Kozuszek sądził, że człowiek sam ratować się był obowiązany, a Pana Boga tylko o pomoc prosić i błogosławieństwo.

Jednakże Bernardyn chwilami interesował się i robotą ludzką; budziła w nim ciekawość taką, jak stawiane przez dzieci budki z kart.

Gdy do celi jego weszli, a ojcu kawę przyniesiono, bo tego zbytku sobie mógł pozwolić dawny gwardyan—zaprosił gościa, aby przysiadł.

— No, masz tam co nowego?—zapytał wesolo Pankracy.

— Co wy u mnie, ojczy, nowego chcecie znaleźć, krom jakiej nowej zgryzoty—rzekł stary.

— Kto czego szuka, to znajduje — rozśmiał się ojciec.—Wy bę polujecie na to.

— Nie z dobrej woli—odezwał się Kozuszek.—Życie mnie na te łowy popędziło. Co mam robić? Własnej mojej biedzie zaradzić nie mogę, niech się na co ludziom przydam.

Bernardyn posilał się, spoglądając na niego.

— No — rzekł — słyszę tam coś o starostwach radzą. Będzie z tego kwasu dużo i hałasu! *Panis bene merentium*, a to był *panis bene... czolgancium* i nagroda za upodlenie. Dobrze im tak! przyszła godzina sprawiedliwości! Lepiej to na obronę i wojsko obrócić, niż na sukienki i fantazyje jejmościanek.

— Właściem ja tu zaszedł nie po co do ojca,

tylko przypominając przyszłe kazanie. Z zam<sup>tu</sup> zawsze ktoś przyjdzie, niechże jegomość im różne *verba veritatis* i napędza, aby kraj i siebie ratowali, a póki czas, życie odmienili. Dużo jest poczciwych, którzy dobrego chcą, ale od siebie naprawy rzeczypospolitej poczynać nie myślą. W sejmie głosują dobrze i koszulę z siebie oddać gotowi, ale potem bankietują i ostatni też grosz przepijają, przejedzą lub przegrają.

— To prawda, ale mój ty miły Kożuszyno—odezwał się Bernardyn—ty z nich kapucynów i bernardynów zrobić nie potrafisz. Ułomność ludzka! Świętych mało!

— O świętych i mowy niema — rzekł Kożuszek—ale żeby choć bydlętami być przestali.

— Srogi-bo jesteś!—rozśmiał się Bernardyn.

— Bo czas sroższy nademnie! Gdy się rzeczpospolita nanowo ugruntuje i nic jej grozić nie będzie—zawołał Kożuszek — naówczas niech już sobie i bankietują, a teraz... wara. Nam wór włożyć i głowy posypać popiołem, aby winy dawne zmasać.

— No, no—przebąknął ojciec Pankracy, czysto po polsku zamykając rozmowę.—Jakoś to będzie.

Kożuszek skręcił się na siedzeniu niespokojny; coś jeszcze chciał mówić i nie śmiał. Cały ten wstęp był widocznie tylko przyczepiony, aby ułatwić *post-scriptum*.

Wstał z krzesła i przyszedł rękaw ojca Pankracygo pocałować.

— Ojczuniu!—szepnął.—Sił mi nie staje. Gdzie mogę i jak mogę, staram się, aby od tej kobiety nieszczęsnej ludzi odstraszyć i poodpędzać; ale nie do

wszystkich ja mogę dostąpić. Ona drugich pogubi, a oni ją do ostatecznej zguby przywiodą. Rozumiecie mnie, wiecie.

— No, wiem, wiem!—rzekł bernardyn—ale cóż ja na to mogę poradzić?

— Możecie — odparł stary.— Do tego domu ciśnie się też osób wiele, do których wy przystęp macie. Możecie ostrzegać.

Stary zadumał się.

— W ostatku — dodał—choćby przyszło z kazalnicy.

— Bój-że się ty Boga! a cóż ja z kazalnicy mogę powiedzieć?

— Możecie tak tę jaskinię zatracenia odmalować, aby ją ludzie poznali i wstydzili się tam nogą stąpić.

Pankracy schyłego pocałował w głowę i począł spokojnie:

— Nie unoście się, nie wymagajcie rzeczy niemożliwych, a w tem, co czynicie, miejcie miarę, liczcie się z czasem.

Gdy to mówił, stary ścisnął ręce z wyrazem rozpaczliwym. Łzy mu się potoczyły po twarzy i rzewnie plakać a zanosić się zaczął. Szlochaniem tem przerwał mowę ojcu, który zamiast go nawracać, zaczął pocieszać.

— We wszystkim cierpliwości potrzeba, mój drogi.

— Cierpię!—odparł z za łez stary.

Dał mu się trochę wyplakać ksiądz Pankracy



i zażywszy tabaki, a popatrzywszy na stojącego przed sobą, zcicha już począł z innej beczki.

— Ja miałem też was szukać — rzekł — aby ostrzedz. Lękam się, aby was nie poturbowano. Nadto o Kożuszkę w mieście gadają i mnóstwo z tych, którymiście ostro publicznie przycięli, skarży się i odgraża. Zmitygujcie się, przycupnijcie trochę, nie pokazujcie się tak często w ulicach. Niech o was zapomną.

Stary począł głową trząść.

— Nie mogę — rzekł krótko.

— A jeżeli się porwą na was i, uchowaj Boże, uwiężą? — zawołał Bernardyn — wszakże wówczas wcale już nic robić nie będziecie mogli.

— Wola Boża! — obojętnie odezwał się Kożuszek. — Jeżeli mnie co spotka z dopustu Opatrzności, bsdę wiedział, iż mi to było przeznaczone, a sam sobie wędzidła nakładać nie mogę.

Ksiądz znowu ciekawie nań popatrzył, poszeptał coś pocichu, ręce wsunął w szerokie rękawy habitu i biernie czekał końca rozmowy.

Stary też niezupelnem jej powodzeniem zdawał się zniechęcony. Zbliżył się do Pankracego, pocałował rękaw i zwolna ku drzwiom celi zmierzał.

Na pożegnanie rzucił mu ksiądz jeszcze:

— Miej miłosierdzie nad sobą!

W korytarzu Kożuszek zwolnił kroku, powlókł się smutny do krzyża, który zobaczył w końcu jego na ścianie, ukląkł przed nim, pomodlił się i wyszedł nareszcie z klasztoru na zwykłą swą pielgrzymkę.

Dnia tego była właśnie sesya sąjmowa i nie-

którzy posłowie, niektóre panie, posiedzeń i mów ciekawe, którym przyklaskiwały z galeryi, już się zbierać zaczęli. Około zamku widać było stojące gromadki pieszych i zachodzące powozy.

Ruch ten był znaczny, bo i na przekupniach nie zbywało, przynoszących psilek dla zgłodniałych i napój dla uznojonych. Stała i straż wojskowa w bramie. Konno też podjeżdżali niektórzy, w mundurach kawaleryi narodowej.

Dla człowieka tak już osławionego i mianego na oku, jak ów żebrak, zbliżenie się do zamku było najniebezpieczniejszem, bo tu go lada kto mógł wskazać i dać wziąć pod wartę.

Barani kożuszek jednak, wcale tem nieustraszony, popatrzwszy dookoła, wprost się skierował ku zamkowi.

Na pół drogi od Bernardynów napędził go Juliaszek.

— Na miłego Boga! — począł, targając go za połą—ja was od wczoraj wieczora szukam, gonię... dobrze, żem złapał. Zmiłujcie się, nie pokazujcie w ulicy, bo za wami chodzą i szukają. Wczoraj, gdyście z Miodowej szli, o mało was nie pochwycili. Słyszałem, jak się zmawiali. Odprawiłem ich na Pragę, szukać wiatru w polu, ale te szelmy powrócą. Ktoś im wyznaczył nagrodę, żeby was wydali marszałkowskiej straży.

Żebrak słuchał, zżymając ramiona.

— Śni ci się chyba.

Juliaszek począł się niecierpliwić.

— Coby mi się miało śnić? cóżbym ja miał kłamać?—zawołał.

Obojętność jakąś i zniechęccie widać było w starcu. Stał, zadumał się, dobył z kieszeni dwuzłotówkę, wcisnął ją Juliaszkowi i rzekł chłodno:

— No, no, bądź spokojny! Mnie oni nie wezmą łatwo.

Juliaszek stał uparty, wskazując w lewo.

— Na Krochmalną! idźcie do domu, powiadam wam.

To naleganie poczciwego chłopaka zlamало wreszcie starego; zawrócił się od zamku, do którego już dążył, i wolnym krokiem posunął się na Stare miasto.

Juliaszek pozostał jeszcze na placu, rozglądając się, czy wracających z Pragi nie zobaczy.

Dnia tego Barani kozuszek nie pokazał się w mieście. Zwiedzeni przez chłopca ludzie wrócili, klóćąc się, z Pragi, i odgrażając, że łobuza kłamcą ukarzą. Nielatwo było jednak tak zwinnego i przebiegłego ulicznika pochwycić.

Pan Maciej zdziwił się i ucieszył, gdy zawczasu zobaczył powracającego pana, który, zrzuciwszy swe przebranie, siadł czytać i pisać listy i już dnia tego z domu się nie ruszył.

Nazajutrz stary nie wyszedł także, lecz z południa już mu tęskno i nudno było. Mruczając, chodził po izbach, siadał, brał papiery i książki, i rzucał je natychmiast. Nalóg włóczędzy ulicznej, tego napastowania ludzi i wylewania żółci, która się w nim zbierała, odpoczynek ten coraz nieszczęśliwszym czynił.

Trzeciego dnia, mimo słoty, mimo próśb Macieja, nic go już wstrzymać nie mogło. Zrana zbiegł



ze schodów, przywdział swój żebraczy ubiór i z gorączkowym pośpiechem wybiegł w ulicę.

Sługa tego dnia nie miał ochoty wyjść na miasto; został w kuchni, pocieszając się narzekaniem przed gospodynią, na dziwactwo pańskie. Tak dzień cały upłynął.

Trafiła się, że Barani kożuszek wracał o dobrym zmroku, ale bardzo rzadko w nocy.

Wieczorem więc Maciej, dopilnowawszy, aby jedzenie było gotowe, oczekiwał go z coraz rosnącą niecierpliwością. Godzina zwykła minęła. Deszcz ustał, niebo się wypogodziło, na zegarach biła dziesiąta—a Barani kożuszek nie powracał.

Niepokój wielki ogarnął Macieja. Nie mógł wytrzymać już w kuchni, wdział opończę i poszedł na miasto. Nie umiejąc odgadnąć, gdzieby miał szukać pana, puścił się naoslep. Więcej mu może szło o to, aby się ruchem odurzyć, niżby się czego dowiedział... bo i nie miał u kogo dostać języka. Po drodze rozpatrywał się w przechodniach, czy gdzie nie spotka opóźnionego, i dostał się tak aż do teatru.

Dnia tego było właśnie widowisko i ścisk około niego znaczny. Obojętnem okiem rozpatrując się w tłumie wrzawliwej służby, która oczekiwała na panów, Maciej postrzegł Juliaszka, widzianego w gospodzie na Marywillu.

Chłopiec stał pod ścianą ze swą latarką, z rękami na piersiach założonemi, z czołem zmarszczonem, zły i smutny. Zwykła nawet gadatliwość go opuściła i choć go gawiedź zaczepiała, nie odpowiadał.

Wtem i on, przypomniawszy pewnie sobie Macieja, a widząc go wpatrującego się w siebie, poruszył się żywo.

— A co? — zawołał, prostując się — a co? Te szelmy na swoim postawiły. Pamiętacie, co mówiliśmy o Baranim kozuszkę?

Na wspomnienie to Maciej aż poskoczył ku niemu.

— Cóż? co się stało?—zawołał.

— Pochwycili go i oddali marszałkowskim — począł Juliaszek.—O! teraz ztamtąd dobyć go nie będzie łatwo. Zalał on wielu sadła za skórę... pomszczą się na nim.

Maciej stał, ręce załamawszy.

— Co ty pleciesz? czy to może być?

Juliaszek się obejrzał dokoła, bo już na nich patrzano i słuchano. Odciągnął starego na stronę i począł żywo:

— Wzieni go, wzieni! ale im i sam w ręce wlaź, powiadam wam. Wychodzili posłowie z sejmku, wybrał sobie dycht miejsce pod wrotyma i począł po swojemu ich witać. Ja tam mało którego znam, ale kilku wiem jak się zwa. Uczepił się naprzód pana Jezierskiego i coś mu dociał; potem szedł ten krzykacz... tego wszyscy znają, Suchorzewski, a tu trafiła kosa na kamień... bo to i gardło ma i gębę, a i rąk za pasem nie trzyma. Ten go sam zaraz za kołnierz ułapił, a silna bestya, i jak wrzśnie na wartę... pochwycili starego w mig i poprowadzili.

— Gdzie? dokąd?

— Kto ich wie? pewno nie gdzieindziej, tylko

do marszałkowskiego więzienia. Ztamtąd go i dyabeł nie dobędzie. A jak się ludzie dowiedzą, że Barani kozuszek w kozie, dopiero się sypną oskarżenia. Chyba go żywego ztamtąd nie puszczą.

— Jezu miłosierny! Cóż tu począć — zawołał Maciej.

Juliaszek, widząc taki żal i trwogę w starym, przestał mówić; przyglądał mu się tylko, usiłując odgadnąć, jaki węzeł mógł łączyć tego, wcale porządnie odzianego, czleka z tym Baranim kozuszkiem odartym.

Wprawdzie dwie dwuzłotówki, które otrzymał od żebraka, głupich mu myśli napędziły do głowy, ale do ładu z niemi jakoś przyjść nie mógł. Rad się był czegoś dowiedzieć o tym żebraku, ku któremu czuł pociąg szczególny — i zapomniawszy o swej lartarce, choć godzina wychodzenia z teatru zbliżała się, przystał do Macieja, nie opuszczając go.

Stary sługa w pierwszej chwili nie mógł się opamiętać, co mu czynić wypadało; Juliaszek to z twarzy jego wyczytał i targnąwszy za poję, szepnął:

— Chodźmy-no, jegomościuniu, na stronę. Tu ludzi siła.

Tak obezwładnionego żalem Macieja odciągnął precz od teatru, w pusty ulicy zakątek.

Chłopak był bystry, uczuł, że mu się naprzód potrzeba wytłómaczyć temu nieznanemu, dlaczego mu Barani kozuszek nie był obojętnym.

— Widzi pan—rzekł zcicha—ten pocziwy stary dał mi dwa razy po dwuzłotówce. Serce ma dobre... żal mi go, jakby ojca rodzzonego.

Spojrzał w oczy Maciejowi, ale ten stał, nie



sluchając i nie widząc nic, i tylko dźwięk głosu chłopca obił mu się o uszy.

— Cóż tu począć?— bąknął.— Do kogo iść?

Chłopak głową potrząsał.

— Tego ja nie wiem—rzekł—ale mi się widzi, że go dobyć z pod ich klucza chyba nie będzie można. Na niego dawno zęby ostrzyli, gotowi go nie wiem o co obwinić. Powiesić, może nie powieszają, ale wyświecić z miasta i smagać... to nie chybi.

Maciej stał długo, w myślach zatopiony; spojrział na chłopca.

— Widziałeś sam jak go brali?—spytał.

— Jak na was patrzę!

W pierwszej chwili chciał zaraz iść do więzienia marszałkowskiego stary sługa, ale godzina była późna, przystęp niepodobny. Przytem obawiał się zdradzić pana.

Nierychło mu na myśl przyszło, o czem wiedział dobrze, iż Kozuszek w blizkich był z ojcem Pankracym stosunkach. Jedynym ratunkiem więc było naprzód dać wiedzieć Bernardynowi, potem jednemu z tych posłów, z którymi Kozuszek się znosił.

Tego dnia jednak nic już poczynać nie było można, ani się do klasztoru dostać, ani do żadnego z tych, których rankami u pana widywał.

Trzeba było z razdartem sercem powracać do domu i czekać ranka.

W brudnej izbie, o jednym zakratowanym oknie, okrytym kurzem i nieprzepuszczającym światła — na garści słomy w kącie leżał Barani kozuszek. Nie był tu sam; na lawce pod oknem siedział z rękami w kieszeniach, z krótką fajką w gębie, człek jakiś

w odartej o łożysko, z pod której widać było odzież, dawniej dosyć wykwiwną, ale zszarzaną i zabloconą. Ten, sam do siebie coś mówiąc ciągle, rękami różne gęsta robił, jakby z nim rozmawiał i przekonać go się starał. Spuścisty wąs czarny zakrywał mu część wielką twarzy i spadał na dawno niegoloną brodę.

Ostry dym tytoniu zmuszał go do ciągłego plucia.

Mruczenie niewyraźne czasami przechodziło w szept, z którego wyrywały się dobitniej okrutne przekleństwa.

W drugim kącie izby spała w nędznym przyodziewku kobieta, z głową związaną chustą wielką, tak spokojnie chrapiąc, jakby była we własnym domu. Dwóch obdartusów, oglądając się, szeptało coś żywo, jakby się naradzali. Czasem jeden z nich palcem wskazywał na okno, drugi na drzwi.

W ciemnych zakątkach izby, pełnej zaduchu i wyziewów jakichś, przylgłych do ścian, bo powietrza nigdy nic nie poruszało, chyba chwilowe drzwi otwarcie—szarzały inne jeszcze nieruchome postacie, jakby senne lub skostniałe.

Światła w izbie nie było, z korytarza tylko przez szybę, oprawioną we drzwiach, wdzierał się słaby promyk jakiejś latarki i na bliższych przedmiotach migotał.

Barani kozuszek na przegnilej i wyleżalej słomie, wsparty na rękę, odpoczywać się zdawał, oczyma wodząc po towarzyszach swego więzienia, jakby oni go więcej obchodzili niż dola własna. Na tę zdawał się być zupełnie obojętnym.

Z nich zaś żaden ani nań patrzył. Mruczenie

tego, który siedząc na ławie, sam z sobą rozprawiał, chrapanie śpiących, westchnienia ich przez sen—milczenie niekiedy przerywały. W korytarzu nie słychać było chodu straży. Zdała turkot głuchy powozów dochodził.

Oprócz tego, który z sobą bardzo żywo monolog prowadził, reszta więźniów zdawała się już do nocnego zabierać spoczynku. Ci dwaj, co się naradzali pocichu, przysiedli, poobwijawszy się w opończe, bo izba, mimo dusznego powietrza, była chłodną.

Kożuszek nie spał. Na bladej jego twarzy widać było politowanie, które wzbudzali w nim współwięźniowie. Czasem uśmieszek jakiś dziwny przemknął po bladych zaschłych wargach i zmieniał się w wyraz bóleści.

W korytarzu zaszłapało i zabrzęczało... Oczy i uszy tych, co jeszcze nie spali, zwróciły się ku drzwiom. Kręcono kluczem w zamku. Niepokój ogarnął więźniów. Kobieta śpiąca przbudziła się i krzyknęła:

— Bodej cię dyabli porwali!

Drzwi na zawiasach się ruszyły, dwóch pachołków weszło, rozglądając się, do izby. Pierwszy z nich trzymał kaganek w ręku. Oczyma szukali czegoś po kątach.

Jeden z nich spostrzegł leżącego staruszka i nogą go kopnął.

— Wstawaj!

Kożuszek, na rękach się spartłszy, z ciężkością mógł się dźwignąć, lecz był posłuszny. Za ledwie się podniósł, gdy obaj pachołkowie, słowa nie rzekłszy, chwycili go pod ręce, szarpnęli nim i ledwie



mu dawszy zdjąć z ziemi kij i czapkę, ponieśli go ku drzwiom.

Wszyscy więźniowie pozrywali się z barłogów, spoglądając przestraszeni, czy którego z nich ten sam los nie spotka; ale wnet drzwi się już zatrzasnęły i ciemność poprzednia wróciła.

Kożuszek nie zdawał się ani zdziwiony, ani przelękły; nie spytał w korytarzu, co z nim robić myśla. Pachołkowie popchnęli go—szedł.

Jeden z nich w ciemnych przejściach przyświecał; zakręcili się w korytarzu raz i drugi, potem na schody prowadziła droga i na korytarz znowu.

Tu drzwi jedne kredą naznaczone były ogromnym numerem czwartym. Pierwszy pachołek je otworzył. Weszli do przedpokoju, w którym na ławce siedział w półuśpiony, chudy, niby żołnierz, niby sługa sądowy.

Na widok wchodzących ziewnął i wyciągnął się.

Przez półotwarte drzwi widać było izbę oświetloną. Wskazał na nią. Pachołkowie popchnęli więźnia, a sami pozostali za drzwiami.

Kożuszek znalazł się w pustej, dużej sali, w środku której stał ogromny stół, papierami, kałamarzami i fascykulami zarzucony.

Nikogo tu nie było, oprócz przy jednej świeczce z zieloną umbrelką, w krześle starem, wyslizganą skórą obitem, chudego człowieka, który czapkę miał na uszy zaciśniętą i futerko na ramionach.

Drzemał, czy siedział zamyślony; dopiero gdy drzwi zamknięcie i chód posłyszał, zerwał się, rękę do oczów przyłożył, popatrzył chwilę i zaczął zbliżać

się do więźnia, mierząc go oczyma zaczerwienionemi i błyszczącemi jak u kota.

Chudy był, słuszny, przygarbiony, twarzy pociągłej, a dolna warga w ustach zwieszała mu się przerosła, nawpół rozcięta, z pod rzadkiego wąsa, dając twarzy wyraz dumny i srogi.

Warga ta i krwawe oczy były najwybitniejszymi rysami twarzy. Nos mały, przyklepany, płaski, zaledwie był widoczny.

Otulając się futrem, milczący urzędnik stanął, popatrzył, obszedł dokola więźnia i powróciwszy do krzesła, rozsiadłszy się w niem, chrząknął i począł:

— Sam tu! bliżej!

Głos miał ochryply, rozkazujący, szeleszczący w gardle a ostry.

— Coś zacz?

Stary pomilczał chwilę.

— Barani kożuszek.

— Ja ci tu dam Barani kożuszek, złodzieju ty jakiś! włóczęgo! żebraku! Coś zacz?

Żebrak milczał dość długo.

— Powiedz mi pan wprzód, za co mnie uwięziono?— odezwał się.

Okrutne uderzenie pięścią w stół było oznaką, że indagator wpadł w gniew wściekły. Oczy mu jeszcze bardziej krwią zapłynęły.

— Ja cię zasiec każę, w kajdany okuć, łotrze jakiś!

— Cóżem zrobił?— spokojnie począł żebrak.

Rzucił się w krzesło badający i całe krzesło sobą poruszył, aż zaskrzypiało.

— Nie gniewaj się, miłościwy panie — począł z wolna nieustraszony żebrak. — Jestem biedny człek, pokutujący za grzechy, modlący się, proszący Boga za siebie i za takich, jak ja, grzesznych ludzi. Złego nie zrobiłem nic. Powiedzcie mi, za co mnie wzięto?

Badający mruzczał coś niezrozumiałego sam do siebie.

— Ty mi się dopiero wypowiadasz, jak krwią spłyniesz pod różgami — począł, dwie ściśnięte pięście podnosząc mu do twarzy. — Patrzajcie go, to on tu mnie badać będzie i inkwirować!

Zaśmiał się dziko i powtórzył:

— Coś zacz? Zbieg? Poddany czyj?

— Niczyj poddany, sługa Boży — odparł Kożuszek.

Zimna krew, z jaką odpowiadał żebrak, do wściekłości prawie pobudziła indagatora. Brakło mu zapewne czasu na dłuższe badanie i to jeszcze niecierpliwość zwiększało.

— Będiesz mi ty gadał? zbóju, łotrze!

Żebrak milczał.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, porwał się z siedzenia badający; ale po namyśle padł na nie znowu. Spojrzał na stojącego starca, spotkał wzrok jego spokojny, twarz, jakiej może między tymi, których codziennie mu przyprawdzano, nie widywał i wielki gniew z wolna ustąpił osłupieniu i ciekawości.

Nowe połajanie i groźba w ustach mu zamarły.

Żebrak skorzystał z tego przestanku i zaczął głosem podniesionym:



— Sądźcie wy mnie dziś niewinnego, ale Bóg kiedyś was też sądzić będzie i spyta może: Jakaście to obchodzili się z tymi, których ja braćmi nazywałem moimi? Zowiecie mnie łotrem, zbójem i wszelkimi imionami plugawemi, choć o mnie nie wiecie nic i nie uczyniłem nic, abym na to zasłużył. Włóczęgą jestem... tak; ale i Apostołowie, uczniowie Chrystusowi, włóczęgami się stali, dla opowiadania ewangelii. Spytajcie o mnie ludzi. Słowa Bożego opowiadać nie śmiem, bom sam nędzny grzesznik, ale co mówię, tego się przed sądem Bożym nie powstydzę.

Instygator aż się pochylił, słuchając. Zdumienie z osłupieniem prawie graniczące, zmieniło mu rysy. Wargą ogromna zwisła bardziej jeszcze, oczy wyskakiwały z powiek.

Gdy Kozuszek mówić przestał, nie odezwał się już. Zasłuchany był i czekał.

— Jestem człowiek niewinny—dodał Kozuszek.— Nie mam się na kogo powołać, bo mnie tu nie zna nikt; ale zaświadczy za mną spowiednik i dobrodziej mój, ojciec Pankracy u Bernardynów, żem nie żaden zbój, ani złoczyńca.

Znowu obaj milczeli. Instygator zadumał się, zmarszczył i powtórzył, lecz znacznie złagodzonej tonem:

— Ale coś zacz?

Żebrak poruszył ramionami.

— Pokutnik biedny.

Posłyszawszy tę odpowiedź zrezygnowaną, badający popatrzył długo na Kozuszkę, ramionami dźwignął, plunął i rozmiął się.

— Fksat!—zamruczał i w ręce uderzył.

Weszli pacholkiwie. Skinął na nich, obwijając się w futerko, indagator, czapkę nacisnął na uszy i wyszedł, stukając drzwiami.

Barani kozuszek poszedł dalej do smrodliwej izby i dawnych towarzyszków.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



~~BIBLIOTEKA  
Państwowe Liceum Pedagogicznego  
w GLIWICACH  
Nr. \_\_\_\_\_~~





STUDIUM NAUCZYCIELSKIE  
w GLIWICACH,

21386